№ 4. Warszawa, dnia 13 (25) Stycznia 1879 roku.



TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwart. w miejscu złr. 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Chmielnej Nr 1530 (nowy 20).

FLAMINIA.

POWIEŚĆ

przez

Jana Zacharyasiewicza.

I.

W salonie bogato urządzonym znajdowało się liczne towarzystwo. Jedni zajmowali fotele jedwabnym adamaszkiem okryte, inni przechadzali się po salonie przypatrując się obrazom na ścianach rozwieszonym. Kobiety siedziały na kanapach a przy nich na nizkich taboretach rozłożyły się dzieci różnego wieku. Rozmowy nie wiele było w tym salonie, za to bardzo wiele jakiegoś tajemniczego wyczekiwania. Wszystkich oczy zwrócone były na drzwi bogato rzeźbione, przy których w wyprostowanéj postawie stał lokaj w sutéj liberyi ubrany. Od czasu do czasu przykładał ucho do drzwi, a gdy jakiś głośniejszy szmer tam zasłyszał, otwierał klamkę i wypuszczał z tamtąd gościa, którego miejsce nowy z towarzystwa znajdującego się w salonie zajmował.

Był to salon jednego z najznakomitszych lekarzy. Za oknami tego salonu wrzał ruch stolicy naddunajskiéj a w dali majaczyła w obłokach wieża św. Szczepana.

Czekające na audyencyą towarzystwo składało się z różnych narodowości, jak to z rozmowy poznać można. Blada milady z jasnowłosym małżonkiem rozmawiała po angielsku i od czasu do czasu głaskała po głowie małego chłopczyka, który zakrawał na albinosa. Sąsiadka ich nadzwyczaj żywa z czarnémi oczyma kobieta mówiła po francuzku do chudego mężczyzny, który mógł być jéj ojcem lub mężem. Najgłośniejsza była grupa złożona z trzech pokoleń, która z pewną uzurpacyą innych narodowości używała języka dawnych Arpadów w tém błogim przekonaniu, że to pierwszy język na świecie i że Rossini wielki błąd popełnił nie wziąwszy do swoich oper węgierskich librettów. Do walki z uzurpacyą nieuzasadnioną wystąpił język, niemiecki. Nie był to jednak język cichy i melodyjny język Szyllera i Göthego, ale jakieś niemiłe pretensyonalne narzecze z nad Sprei, które dopiero po bitwie pod Sadową w stolicy naddunajskiéj coraz więcéj słyszeć się dawało.

W kącie salonu bardzo skromnie i nieśmiało odzywał się język polski: był on wprawdzie sowicie naszpikowany francuzczyzną, która wtedy do wyższych wznosiła się tonów, ale mimo téj okrasy krył się wstydliwie między piecem a drzwiami nie dochodząc nawet wcale do koncertu europejskiego.

Grupa, która tego języka używała, była dosyć charakterystyczna. Na pierwszym planie siedział na fotelu mężczyzna, na twarzy którego malowała się przedwcześniepóźna już starość. W młodości był on prawda bardzo przystojnym i okazałym. Pozostały jeszcze ślady rysów bardzo regularnych. Dzisiaj jest on wyrazem pewnéj moralnéj i fizycznéj niemocy. Na twarzy ruch muszkułów nie działa jednakowo. Często jedna powieka opada i zakrywa oko, podczas gdy drugie patrzy z pewną apatyą przed siebie. To samo odbywa się przy ruchu rąk i nóg. Jedne palce zginają się drugie są sztywne i w całym układzie tworzą niemiłą dyzharmonią. Przedwczesny starzec siedzi zgarbiony i ma wyraz na twarzy, jakby jaki wielki ciężar dźwigał nad sobą.

Koło niego siedzi kobieta także stara, która jednak widocznie chce uchodzić za młodszą. Na twarzy grubo mączki ryżowéj, właściwie blejwajsu, który pod firmą ryżu wnika aż do organizmu ludzkiego. Za to w ubiorze widać młodość zupełną i fantazyą niezaprzeczoną. Najpierwszéj mody kapelusz ledwo dotyka się upudrowanych na szaro włosów, a zacząwszy od spiczastéj nieco brody ugarnirowany prawdziwemi koronkami ciągną się artystyczne draperye ciężkiéj jedwabnéj materyi, któréj sporo jeszcze leży na ziemi po za fotelem. Stara kobieta używa często z upodobaniem języka francuzkiego, którym doskonale włada, tylko czasami, gdy chodzi o tajemnicę jaką w obec innych gości, odzywa się po polsku.

Jest to widocznie małżeństwo otoczone młodszem pokoleniem, mającem wszelkie cechy rodzeństwa. Młody mężczyzna mający zaledwie lat trzydzieści przypomina zupełnie rysami twarz ojca. Słuszny jak i wysmukły z greckim profilem, twarz trochę ogorzała znamionuje rolnika. Czarne włosy rozrzucone w nieładzie na głowie łączą się bardzo udatnie z obfitym zarostem brody. Jasne, błękitne oczy łagodzą o wiele południowy na pozór temperament, czemu także ujmujący przy ustach uśmiech szczerze dopomaga.

Siedząca po drugiéj stronie młoda kobieta jest niezawodnie siostrą młodego mężczyzny. Podobna do niego wzrostem i barwą włosów. Różni się jednak znacznie bledszą cerą i czarném zamglonem okiem. Ubrana jest wykwintnie. Widać z całéj jéj postawy, że się lubi podobać i jest pewną że się podoba. Igra więc z pewną pustotą swemi wdziękami jak dzieci z niebezpieczną bronią. Raz zatoczą się po salonie niby od niechcenia ogniste jéj oczy, drugi raz drobna nóżka w zgrabnym prunelowym buciku wychyli się z pod fałdów sukni, a na trzecie danie idzie miniaturkowych rozmiarów rączka, którą trzeba od czasu do czasu ubrać w rękawiczkę francuzką lub ją zupełnie odsłonić.

Patrzy na nią brodaty Węgier i niemiłosiernie kręci na wszystkie strony łokciowe wąsy swoje. Młoda kobieta widzi to i z pewnym naiwnym uśmiechem podziwia talent powroźniczy swego sąsiada.

Uśmiech ten jednak mówi bardzo wiele. Pokazuje że młoda kobieta, nie jest już dziewicą. Dziewica tak się nie śmieje, gdy młody węgier do niéj wąsy kręci jak powrozy, gdy na nią patrzy jak w tuza. Być może, że wtedy dziewica wcaleby się nie śmiała a może nawet gniewałaby się na takiego zapalonego spektatora, który w braku innego konceptu wąsy kręci.

Podobne myśli i powątpiewania wylęgały się także w głowie brzuchatego węgra. Uderzył z całą siłą swego towarzysza po ramieniu i zawołał głośno haniebną francuzczyzną:

— Patrz *baratom* na tę młodą kobietę z plecionym koszykiem na głowie. Gdyby była panną tobym ją wykradł:.. gdyby była mężatką, tobym w pojedynku zabił jéj męża i z nią się ożenił!

— A gdyby była wdową? zapytał taką samą francuzczyzną towarzysz wystawiając białe zęby.

— Gdyby była wdową... powtórzył z mniejszym już zapałem potomek Arpada, gdyby była wdową... to nicbym nie robił!

— A to dla czego?

— Dla tego... bo żaden z Bassafagy'onów bez awantury do żony nie przyszedł!

Młoda kobieta rzuciła gniewném okiem na brodatego potomka Bassagy'onów i pochowała wszystkie swoje wdzięki. Zdaje się, że Bassafagy odgadł jéj stanowisko społeczne.

W téj chwili otworzyły się drzwi do gabinetu sławnego człowieka, a usłużny lokaj kiwnął ręką na polską grupę.

Chory ojciec rodziny podniósł się z trudnością na nogi a podtrzymywany przez syna ruszył zwolna w pochód do sławnego cudotwórcy.

Zaiste, patrząc na wlokącego się zaledwie człowieka, którego siły żywotne już wyraźnie się dopalały, trzeba było koniecznie jakiego cudu, aby w niego wlać nowy zasób życia...

Nie tak jednak myślała postępująca za nim rodzina. Z całém skupieniem ducha dążyła do otwartych podwoi, za któremi czekał na nią człowiek cudowny, mający choremu wrócić zdrowie i czerstwość sił młodych...

Cudowny jednak człowiek nie wyglądał na coś nadzwyczajnego. Był sam chudy i z żółkłą miał cerę. Za to miał na sobie bardzo okazały szlafrok z grubéj jedwabnéj materyi opasany długim czerwonym sznurem. Odwinięty kołnierz tego ubrania buduarowego wykładany był żółtym atłasem, od którego malowniczo odbijał czarny jedwabny krawat ze spuszczonemi na dół końcami.

W tak okazałym kostiumie siedział cudowny człowiek na fotelu jeszcze okazaléj rzeźbionym i ciemno czerwonym aksamitem wybitym. Przed nim na prawéj stronie biurka stała z oksydowanego srebra bardzo misternie wyrobiona misa, naśladująca jakiś antyk grecki czy egipski. Miłośnik sztuki starożytnéj dał jéj jednak u siebie bardzo praktyczne przeznaczenie. Na téj misie miały się składać datki chorych, aby wielkiemu człowiekowi nie sprawiać żadnego roztargnienia w jego zagłębianiach się nad chorobą.

Tak myśleli chorzy, ale stojący przy drzwiach lokaj, w oczach którego, jak wiadomo nie masz żadnego wielkiego człowieka, myślał zupełnie inaczéj. Wiedział on, że dla sławnego cudotwórcy nieobojętną była treść téj świetnéj misy i że przed rozpoczęciem audyencyi własnoręcznie rzucał on na tę misę kilka sztuk grubych banknotów i kilkanaście luidorów. Był to wprawdzie znak tylko, że na tę missę mają się składać datki za konsultacye, aby dobrodziejowi ludzkości funkcyi umysłowych nie utrudniać, ale dla czego na taki znak nie położył dobrodziéj na misę drobnéj monety lub drobniejszych papierków o tem wiedział tylko lokaj stojący przy drzwiach swego pana.

Gdy polska grupa przed biurkiem stanęła, zadzwonił mąż znakomity a z pod jedwabnéj kotary w głębi pokoju wychyliła się jakaś postać ludzka w srebrnych okularach, ubrana z pewną wyższą elegancyą.

Polska grupa wzięła go zrazu za kamerdynera, ale gospodarz wyprowadził ją wnet z błędu.

— Siadaj doktorze, rzekł do czarno ubranego.

A zwracając się do polskiéj grupy dodał:

— Doktór X*** mój pomocnik i kiedyś prawdopodobny następca. W ważniejszych wypadkach porozumiewamy się obaj, a w razie potrzeby odnoszą się do niego różne korespondencye i zlecenia listowne. Tu jak widzę jest choroba skomplikowana i dłuższéj wymagać będzie kuracyi, może więc stać się potrzebną korespondencya.. Proszę siadać.

Rozpoczęło się badanie chorego. Były różne zapytania i odpowiedzi. Liczono uderzenia serca, mierzono ciepłostan ciała, i opukiwano klatkę piersiową na wszystkie strony za kotarą w tym celu urządzoną.

Wreszcie między mistrzem a uczniem rozpoczęła się tajemnicza rozmowa, po łacinie.

— *Qvid*? zapytał mistrz przecierając okulary.

Uczeń pomyślał chwilę i odpowiedział:

— *Paralicir progressiva*!

— Bene! zakonkludawał mistrz i oparł na ręce wysokie czoło swoje.

Długo trwało milczenie. Grupa polska patrzała z wytężoną uwagą na zamyślone czoło mistrza. Co chwila oczekiwała wyroku, chociaż wyrok był bardzo łatwy do przewidzenia. Sam widok chylącego się powoli do grobu człowieka mówił jasno. Ubytek sił żywotnych i powolne konanie...

Inaczéj jednak myślał w téj chwili lekarz znakomity. Gdyby podobnego pacyenta miał na poddaszu lub w izdebce podziemnéj, gdyby w koło niego widział ubóstwo i nędzę, zrobiłby może to samo o czem i teraz myślał, ale wyrok jego objawiłby się inaczéj. Zapisałby dla pociechy rodziny jakie tanie, niewiele znaczące lekarstwo a chorego zostawiłby powolnemu konaniu, na które już żadnych nie ma środków. Dzisiejszemu jednak pacyentowi trzeba było coś innego powiedzieć, stosownie do stanowiska jakie w społeczeństwie zajmował. Otóż nad tem myślał teraz lekarz znakomity. Z pod ręki, na któréj czoło oparł, patrzały oczy jego na całą grupę, oceniając ją mniéj więcéj, jakiemi rozporządza zasobami materyalnemi.

Pacyent, którego choroba widocznie pochodziła ze zbytniego używania wszystkich dóbr ziemskich, wydawał mu się człowiekiem bardzo zamożnym. Małżonka jego miała na sobie jedwab francuzki i koronki brukselskie. Córka wystrojona była z pretensyą urodzonéj księżniczki. Ubior syna był mniéj wykwintny, ale zawsze bardzo przyzwoity. Mógł z tego wszystkiego słusznie wnosić, że ma przed sobą ludzi bardzo zamożnych i wyższego w towarzystwie stanowiska. A gdy do tego usłyszał nader poprawną francuzczyznę, jaką ozwała się żona pacyenta, pierzchły wszelkie jego powątpiewania. Był przekonany, że widzi przed sobą ludzi, dla których potrzeba innego lekarstwa jak dla pacyenta na poddaszu. Wprawdzie lekarstwo to miało tu i tam jedno i to samo przeznaczenie, pocieszyć obumierającego zwolna człowieka i rodzinę jego, ale musiało mieć inną nazwę.

— Mikstury i pigułek, rzekł po chwili lekarz, wcale panu nie przepisuję, tylko... Wenecyą!

Ożywiła się twarz starszéj damy a oczy młodszéj zaiskrzyły się jak brylanty.

— Wenecyą! powtórzyła matka i spojrzała na córkę.

— Wenecyą! jak echo odpowiedziała córka zwróciwszy na brata wymowne spojrzenie.

Brat stał milczący i słuchał dalszych rozkazów znakomitego człowieka.

— Tak, mówił daléj lekarz, na pańską chorobę najstosowniejsza jest Wenecya. Morskie kąpiele na *Lido*, ogrzane ciepłą wodą Adryatyku z południa będą bardzo skuteczne. Niemniéj i powietrze weneckie, nasycane solnemi wyziewami morza przyczyni się do rozbudzenia sił organizmu. Przy tem regularne życie, wytrawne wino francuzkie i codziennie dwugodzinna przejażdżka na gondoli po wielkim kanale.

— W takim razie, ozwała się żona pacyenta, możeby i dla mnie stosowną była podobna kuracya, jeżeli już razem z mężem będę. Mam kaszel nieustający, a często kłucie w piersiach.

— Wilgotne, solną mgłą napełniane powietrze Lagunów jedynem jest na to lekarstwem, odpowiedział znakomity lekarz, gdybyś pani i tak z mężem tam nie jechała, nie mógłbym innego zalecić lekarstwa.

— A niech pan raczy córkę moją jeszcze zbadać, zdaje mi się że i dla niéj byłaby stosowną Wenecya!

— Widać to na pierwszy rzut oka! Simfatyczne usposobienie, brak rumieńców na twarzy, niedokrewkość... na to tylko powietrza morskie i kąpiel.

Przy tych słowach spojrzał lekarz na zegarek, co było oznaką, że audyencya skończona.

— Proszę mi podyktować nazwiska, ozwał się młodszy pomocnik wyjmując z zanadrza elegancki pugilaresik, być może że wypadnie potrzeba dalszéj porady za pomocą korespondencyi. Proszę, tu jest nasz adres.

Wymienione nazwiska zapisał młody pomocnik do pugilaresu a syn pacyenta złożył tymczasem na szaréj misie dosyć znaczny banknot w braku złotéj monety.

I na tém skończyła się konsultacya.

II.

W godzinę po téj konsultacyi siedziała cała polska rodzina, z wyjątkiem jednego członka, w eleganckim apartamencie jednego z pierwszych hoteli stolicy. Humory były w ogóle dosyć dobre, jakto zwykle bywa po dobrém śniadanku *á la fourchette*. Biedny pacyent skorzystał zaraz przytem śniadaniu z dobrych rad znakomitego lekarza i wypił pół butelki starego francuzkiego wina. Wino podziałało bardzo dobrze na organizm. Kobiety nie piły wina, ale wyglądały upojone jakąś myślą lepszą i szczęśliwą.

Po długiem milczeniu, które więcéj marzeniom przyjemnym niźli wypoczynkowi było poświęcone, ozwał się paralityk z weselszym uśmiechem:

— I cóż ty na to kochana Polusiu?

Sędziwa pani Apolonia zaszeleściła jedwabiem.

— Już to nie ma jak ludzie znakomici! odpowiedziała. Jak on odrazu odgadł chorobę. Jakże nikczemnie wyglądają w obec takiéj europejskiéj znakomitości nasi eskulapi! Tyzanny, rumianki, rzeczne kąpiele, przechadzki w ogrodzie... to są zwykłe ich recepty. O Wenecyi żadnemu z nich do głowy nie przyszło Albo co do mnie, przypominam sobie, że pani Kapistranowa taką samą jak ja miała duszność w piersiach. Przez dwie tylko zimy była w Wenecyi i wróciła otyła jak harbuz a rumiana jak piwonia!...

— A ile ja już żelaza zjadłam! ozwała się córka

i cóż mi to pomogło? Zawsze jestem blada jak śmierć!

— Bo ty Lisetko za wiele tego ryżowego proszku używasz! odezwał się dobrotliwie ojciec.

Eliza wyrzuciła do góry piękną główką.

— Przecież to jest dzisiaj tak powszechne, odpowiedziała, że nikt nawet o tem nie mówi.

— Dobrze Lisetko, tłomaczył się biedny paralityk, ja tego wcale nie mam ci za złe, sądziłem tylko że patrząc na ciebie uważnie, trzeba zawsze coś z téj bladości na karb tego białego proszku odtrącić!

— Lepiéj mówmy o naszych dalszych planach, zakończyła tę niemiłą sprawę pani Apolonia.

Wezwanie to jednak nie miało skutku. Wprawdzie zaprzestano mówić o białym proszku i bladości twarzy, ale o dalszych planach przyszłości nikt ani słowem się nie ozwał. Głuche, długie zapanowało milczenie.

Po długiéj pauzie ozwał się paralityk:

— Maryana długo jakoś nie ma! Gdzież on jest?

— Zapewne za interesem poszedł, odpowiedziała pani Apolonia.

Po tych słowach nastąpiło znowu długie milczenie. Zdaje się, że były wyrazy, które na obecnych sprawiały jakieś niemiłe wrażenia. Nasuwały one im mimowoli myśli, od których chcieliby być jak najdalej. To też zapytanie paralityka i odpowiedź pani Apolonii wywołały znowu dłuższe milczenie, bo nikt nie chciał daléj ciągnąć rozmowy, któraby owe niemiłe myśli koniecznie na porządek dzienny wprowadzić musiała.

Najmniéj jednak odwagi okazał w tym względzie chory paralityk.

— Obawiam się, rzekł po chwili ze smutnym wyrazem na twarzy, obawiam się, czy to nie będzie za ciężko dla Maryana!

— Przecież on jest zaradny, odpowiedziała z pewną nieśmiałością pani Apolonia, w tym razie potrafi sobie zaradzić, tym bardziéj, że tu chodzi o zdrowie ojca! O sobie już nic nie mówię, bo gdyby tylko szło o mnie, bynajmniéj nie wyciągałabym go na koszta!

— Wszak to samo mógłbym o sobie powiedzieć.

— Wcale co innego mój kochany Salezy! Ty jesteś głową rodziny, ty .. pracowałeś... czy raczéj byłeś dziedzicem tego majątku, który teraz Maryan... wziął w administracyą. Zresztą, cóżby świat na to powiedział, gdyby chorego ojca syn nie chciał ratować?...

— O tem nigdy nie wątpiłem. Maryan ma zacne i poczciwe serce, on nie da mi zginąć bez ratunku. Wchodząc tylko w jego dzisiejsze położenie...

Wmieszała się także do rozmowy piękna Eliza.

— Nie wiem dla czego ojciec tę kwestyą tak stawia, ozwała się mimo braku krwi i rumieńców z wrodzoną niecierpliwością, przecież zdrowie rodziców przedewszystkiem. O mnie tutaj wcale nie chodzi. Mogę pojechać, mogę nie pojechać. Zresztą mój pobyt w Wenecyi będzie nawet pewną oszczędnością. Mogę zastąpić rodzicom obcą, najętą osobę, którą drogo trzeba opłacać, a która prócz tego tylko kraść będzie przy każdéj sposobności. Mnie Maryan żadnéj nie zrobi grzeczności, jeżeli na to przystanie, abym z rodzicami pojechała. Jeżeli to zrobię, to więcéj z przywiązania dla rodziców.

Paralityk podniósł z trudnością rękę, aby córce za tak życzliwe słowa podziękować, ale nie mógł tego uczynić. Podniesiona ręka opadła bezwładnie w połowie drogi. Westchnął i odrzekł:

— Niech ci Bóg błogosławi Lizetko, obyś jeszcze była szczęśliwą!

Eliza westchnęła i zamyśliła się.

— Chciałem tylko powiedzieć, mówił po chwili daléj, czy Maryan potrafi tak prędko postarać się o fundusz...

Słowa te wyrwały Elizę z zamyślenia. Odrzekła szybko:

— Jeżeli Maryan dzisiaj jest panem całego majątku, to przecie powinien naprzód o tem wiedzieć, czego rodzicom potrzeba. Nie jechaliśmy do Wiednia dla zabawki. Można było odgadnąć jaki będzie skutek konsultacyi lekarskiéj!... Gdyby żył Alfred... i dotąd jak dawniéj ten majątek dzierżawił, nie byłby się pewnie pytał, zkąd na ratunek rodziców wziąść pieniędzy!

Eliza poświęciła tutaj westchnienie nieboszczykowi swemu Alfredowi.

— A gdy lekarze doradzili Mentanę i Kairo, mówiła daléj po małéj przerwie, to ja nie wahałam się cały mój prawie posag poświęcić i woziłam go wszędzie z jednéj połowy ziemi na drugą!..

Biedni rodzice poświęcili także przyjazne wspomnienie nieboszczykowi wychodząc zarówno z pogańskiéj jak i z chrześciańskiéj zasady; *de montuis nil nisi bene!* Niech z Bogiem odpoczywa!

A w téj właśnie chwili ów Maryan, o którym kilkakrotnie w rozmowie familijnéj poufnie wspominana, biegł długą ulicą napełnioną ludźmi i powozami, biegł z pewną gorączką, jakby się obawiał, że za późno przyjdzie. A wszystko było przeciw niemu. Wszyscy prawie ludzie nie szli wraz z nim, ale szli w kierunku wprost przeciwnym. Musiał się przedzierać, musiał siłą i gwałtem torować sobie drogę. W końcu jednak zabrakło mu sił i cierpliwości. Rzucił się do dorożki i kazał raźno naprzód jechać.

Zaraz ruszyła dorożka dosyć szybko z miejsca, w krótce musiała zwolnić swój napad. Wszystko prześladowało dzisiaj biednego Maryana. Wozy towarowe zatamowały ulicę. Ze smutkiem patrzał jak wymijali go szczęśliwi przechodnie. Zapłacił dorożkarzowi i wyskoczył na chodnik.

Jakoś lepiej było mu teraz. Płynął z wodą i mocno go cieszyło, że ta woda razem z nim dąży w jedną stronę.

Wreszcie stanął u celu. Spojrzał na złoty napis, który cały balkon pierwszego piętra zajmował. Wszedł do sieni.

Sień była okazała. Bronzowe figury trzymały kandelabry, a marmurowe szerokie schody prowadziły na pierwsze piętro. Na ostatnim schodzie stał okazały portyer w sutéj liberyi i nadchodzącemu polskiemu szlachcicowi otworzył duże kryształowe drzwi z niskim ukłonem.

Maryan wszedł teraz do olbrzymiéj sali. Na środku i po kątach stały olbrzymie biura a przed jednem był duży stół marmurowy.

Maryan przy pierwszem biurze zażądał pewnego wyjaśnienia. Zaprowadzono go do drugiego pokoju i wskazano niskiego, okrągłego człowieka ze złotemi okularami.

Z drżeniem serca zbliżył się Maryan do stołu.

— Czego pan sobie życzysz? zapytał po niemiecku mały człowiek, który tu jednak przy wielkich znajdował się interesach. Chciałbym się dowiedzieć, drżącym głosem odparł biedny galicyanin czy moje podanie o zwiększeniu pożyczki jest już zreferowane...

— Jak się nazywa majątek?

— Tuliwody!

Mały człowiek otworzył wielką księgę i na brzegach kart zaczął szukać litery T. Znalazł literę, przeczytał coś i wziął drugą księgę. Manipulacya ta powtarzała się kilka razy. Wreszcie z szóstéj księgi przeczytał coś z uwagą spojrzał z pod oka kilka razy na galicyanina i rzekł:

— Podania pańskiego nie uwzględniła dyrekcya. Majątek jest już zanadto obciążony.

Maryan przybladł.

— Nie może być już inaczéj? zapytał po chwili przez zaciśnięte zęby.

— Może na innych warunkach, spokojnie odpowiedział mały człowiek.

— Czy wiele na to potrzeba czasu?

— Parę miesięcy. Są pewne prawne formalności, które trzeba załatwić.

(*d .c. n.*)

NADZIEJA.

(Z Schillera).

I mówią, marzą ludzie tak wiele
O lepszych dzionkach od wschodu życia;
Gonią szczęśliwe i złote cele,
Pragnąc świetnego losu zdobycia.
Świat raz jest starym, znowu młodnieje,
A człowiek lepszą pieści nadzieję.

Pcha go w wir życia i stroi wieńcem;
Chłopca upaja w wesołéj dobie,
W czarownym blanie igra z młodzieńcem,
Nawet ze starcem nie spocznie w grobie,
Bo chociaż śmierć go z widowni zgładzi,
To kwiat nadziei nad grobem sadzi.

On nie szał żaden, ani myśl pusta,
Któraby w mózgu głupiec wytworzył;
Głos woła w sercu, jakby przez usta?
Do lepszych celów ludzi Bóg stworzył.
Więc głos, co w piersi ludzkiéj się budzi,
Nadziei pełnéj duszy nie złudzi.

Józef Chmielewski.

KONSTANTYNOPOL.

(Wyjątki z dzieła pod tymże tytułem przez Edmonda de Amicis).

PRZEZ

Joannę Belejowską.

(Dalszy ciąg).

II.

W pięć godzin później.

Ranne widzenie jak mgła się rozwiało; ów Konstantynopol jaśniejący światłem i pięknością, stał się potwornem tylko miastem, rozsiadłém na niezliczonéj liczbie wzgórz i dolin; labiryntem mrowisk ludzkich, cmentarzy, ruin, samotni, niepojętą mieszaniną cywilizacyi i barbarzyństwa, przedstawiającą obraz wszystkich miast na całym świecie i wszelkich stron życia ludzkiego. W rzeczywistości jest to tylko jakby cień wielkiego miasta, gdyż budowli jest za mało; jest to olbrzymie nagromadzenie baraków, jakby bezmierne obozowisko azyatyckie, w którém tłoczy się ludność wszelkich ras i pochodzenia, któréj spis rzeczywisty nigdy sporządzonym nie był. To wielki gród w stadyum przeradzania się, złożony z miast starożytnych już znikających, z miast powstających i mających powstać. Wszystko tu wrze i kotłuje się; wszędzie widać ślady ol-

brzymiéj pracy: przebite góry, zrównane z ziemią wzgórza, zniesione miasteczka, wytknięte wielkie ulice, niezliczona ilość stosów kamieni i zgliszcz pożarnych, rozsypanych na gruncie przeistaczanym nieustannie ręką ludzką. Jest chaos, bezładna mieszanina najodmienniejszych widoków, nieprzerwany ciąg dziwnych nie dających się przewidziéć następstw, sprawiających zawrót głowy. Przejdziesz piękną ulicę, przy końcu spotykasz przepaść; wychodząc z teatru, znajdziesz się wśród grobów; wszedłszy na wzgórze, ujrzysz las u stóp jego i in ne miasto na przeciwległym pagórku, a jeźli nagle odwrócisz głowę, miasto które przeszedłeś ukaże ci się leżące wśród głębokiéj doliny, kryjącéj się między drzewami. Po za domem, ukaże się port: miniesz ulicę, miasto znika, jesteśmy w pośród pustego wąwozu, z którego obłoki tylko widziéć można; miasta powstają, znikają nagle po nad głową, pod stopami, z boku, blizko i w oddali, w słońcu, w cieniu, w lesie, na morzu. Postąpiwszy krok naprzód, roztacza się przed nami niezmierzona panorama, cofnąć się krok w tył, a już nic nie widać. Poplątane ulice, wężykowato wiją się wśród wzgórz, ciągną po równym gruncie, wieszają nad przepaściami, przechodzą pod kanałami, rozdzielają na kilka uliczek i spuszczają jak po stopniach między krzaki, zarośla, skały, ruiny i piaski. Od czasu do czasu wielki gród zdaje się jakby wypoczywać w ciszy wiejskiéj i nagle ukazuje się gorętszy, różnobarwniejszy, więcéj ożywiony; tu się wznosi tam czołga, nieco daléj znika i znów wrze życiem. Miasto eleganckie: przedmieścia, wieś, ogród, port, pustynia: targ, nekropola, przesuwają się jak w kalejdoskopie, piętrzą jedne nad drugiemi, tak że z pewnych wyżyn można wszystkie te zmiany objąć jednym rzutem oka.. Co krok postąpić nowa niespodzianka. Wejrzenie każdéj dzielnicy, wznoszących się w niéj domów, zdradza zamieszkującą ją ludność i wielką walkę staczaną między rodziną chrześciańską pragnącą odbić a muzułmańską broniącą ostatkiem sił téj uświęconéj ziemi. Stambuł, dawniéj czysto turecki, oblegają dziś ze wszech stron dzielnice chrześciańskie, podkopujące go zwolna wzdłuż wybrzeży Złotego Rogu i morza Marmora. Z drugiéj strony podbój ten uwydatnia się gwałtowniéj: kościoły, pałace, szpitale, domy robocze, ogrody publiczne, szkoły, wdzierają się w dzielnice muzułmańskie, zagarniają cmentarze, posuwają się ze wzgórza na wzgórze i na wstrząśniętym gruncie zarysowują ukształtowanie wielkiego miasta jakie rozłoży się kiedyś na europejskim brzegu Bosforu, zarówno jak dziś istniejące pokrywa wybrzeża Złotego Rogu.

Po kilkogodzinnéj przechadzce, można dostać prawie zawrotu głowy. Gdyby mówi p. de Amicis ktoś wówczas zapytał niespodzianie: „Jakże znajdujesz Konstantynopol?“ musiałbym przez chwilę zamknąć oczy i ścisnąć ręką czoło, aby powstrzymać nawał cisnących się najsprzeczniejszych myśli. Konstantynopol to Babilon, to świat, to chaos. A czy piękny? Cudowny! Czy brzydki? straszny. Czy się podoba? upaja i odurza. Czy chciałbyś w nim pozostać? Kto wie; któż może wiedzieć czy chciałby przenieść się na inną planetę. Po kilko-godzinnéj przechadzce wracamy zachwyceni i rozczarowani zarazem, upojeni i zniechęceni, odurzeni, z takim chaosem w myślach jakbyśmy czuli początki zapalenia mózgu; powoli, stopniowo ogarnia nas niewysłowione znużenie. Przeżyliśmy kilka lat w kilku godzinach; czujemy żeśmy postarzeli.“

A jakaż to ludność zamieszkuje ten gród olbrzymi.

III.
Most.

Chcąc poznać ludność Konstantynopola, trzeba pójść na most wiszący, blizko ćwierć mili długi, ciągnący się od końca Galaty aż do przeciwnego brzegu Złotego-Rogu, naprzeciw wielkiego meczetu sułtanki Walidy. Oba wybrzeża są europejskie, ale można powiedziéć że most łączy Europę z Azyą, gdyż w Stambule grunt tylko jest europejski, a wszystko, nawet otaczające go małe przedmieścia chrześciańskie, noszą na sobie barwę i cechę azyatycką. Złoty Róg, przedstawiający się jak rzeka, jakby Ocean oddziela dwa światy. Wiadomości z Europy krążące w Galata i w Pera, zajmujące, jasne, dokładne, roztrząsane i komentowane, tylko bezładne i poprzekręcane, dostają się na drugie wybrzeże, niby jakieś dalekie echo. Najrozgłośniejsza sława wielkich ludzi i wielkich spraw Zachodu, zatrzymuje się przed tą trochą wody, jakby przed nieprzebytą zaporą—a przez most ten który przechodzi dziennie sto tysięcy ludzi, może przez lat dziesięć i jedna nie przejdzie idea.

Stanąwszy na tym moście, w ciągu godziny cały Konstantynopol przedefiluje przed nami. Są to jakby dwa nieprzerwane prądy ludzkie spotykające i mijające się nieustannie od świtu do zachodu słońca; targowiska Indyj i uroczystości Pekinu zaledwie dać mogą o nich wyobrażenie.

Chcąc dobrze widziéć trzeba obrać sobie małą przestrzeń mostu i w nią tylko patrzéć, jeźli zapragniemy całość ogarnąć wzrokiem, miesza się w oczach i głowie. Tłumy przechodzą jak fale przedstawiające tysiące barw, a każda grupa przedstawia grupę ludów. Najbujniejsza wyobraźnia nie zdoła wyobrazić sobie takiéj mieszaniny typów, ubiorów i ludzi wszelkich klas, jaką tam zobaczyć można na przestrzeni dwudziestu kroków w przeciągu dziesięciu minut. Po za gromadą posłańców i posługaczy tureckich, uginających się pod ogromnemi dźwiganemi ciężarami, ukazuje się lektyka inkrustowana perłową konchą i słoniową kością, z któréj wygląda ukradkiem jakaś armeńska dama; tuż obok, Beduin owinięty w biały burnus i stary Turek w muślinowym turbanie i kaftanie niebieskim, około którego jedzie konno młody Grek a za nim drogman w haftowanéj kurcie i derwisz w stożkowym kapeluszu i tunice z wielbłądowéj sierci, usuwający się z drogi dla przepuszczenia karety jakiegoś europejskiego ambasadora, poprzedzonego wygalonowanym laufrem. Tuż za nimi nadciąga gromada Persów w wysokich bermycach, to znowu żyd odziany jakby żółtym workiem rozprutym po bokach; rozczochrana cyganka, niosąca dziecko w płachcie na plecach, ksiądz katolicki z laską i z brewiarzem; to znów z pośród tłumu Greków, Turków i Armenian, wybiega konno otyły eunuch poprzedzający turecką karetę pomalowaną w kwiaty i ptaki, w któréj siedzą kobiety z jakiegoś haremu, ubrane zielono lub fiołkowo i osłonięte wielkiemi białemi zasłonami. Tuż za karetą idzie siostra miłosierdzia wracająca lub zdążająca do jakiegoś szpitala w Pera, a daléj niewolnik afrykański niosący małpę. I wszyscy ci tak różni ludzie, biegną i mijają się nie spojrzawszy nawet na siebie, i na żadnéj twarzy nie dojrzysz uśmiechu.

Albańczyk w białéj fustanelli, z pistoletami za pasem, przechodzi obok Tatara okrytego baranią skórą; Turek siedzący na pysznie przystrojonym ośle, przeciska się między dwoma rzędami wielbłądów; za adjutantem jakiegoś książątka, ciągnie wóz z dziwacznemi sprzętami tureckiego gospodarstwa. Mahometanka idąca piechotą; zakwefiona niewolnica; Greczynka w czerwonéj czapeczce ze spuszczonemi warkoczami; Maltanka zakapturzona w czarną *faldetta*; Żydówka w starożydowskim stroju; murzynka owinięta w jaskrawy szal kairski; Armenka z Trebizondy czarna i osłonięta jakby grobowe widmo, przesuwają się obok lub tuż po za sobą. Niezliczona różnorodność narodowości i religii prawie w osłupienie wprawia. Tu świeci łysa czaszka ojca Kapucyna; tam stoi jak wieża turban ulema nakształt janczarskiego; nieco daléj powiewa czarna zasłona armeńskiego księdza. To znowu nadchodzą imani w białych tunikach; żakonice; kapelani armii tureckiéj, w zielonych szatach, z krzywą szablą przy boku; bracia dominikanie; pielgrzymi powracający z Mekki, z talizmanem na szyi; jezuici, derwisze — i dziwna rzecz, w meczetach szarpią i kaleczą swe ciało jako zadośćuczynienie za swe grzechy, a na moście chodzą z parasolami dla zasłonięcia się od słońca. Niekiedy przejeżdża otyły trzéj-buńczuczny pasza, rozparty we wspaniałym powozie, za którym biegnie piechotą sługa niosący fajkę, strażnik i murzyn; wtedy wszyscy Turcy pozdrawiają go przykładając rękę do czoła i do piersi, a żebraczki muzułmańskie, z odkrytemi piersiami, straszne jak czarownice, cisną się do okien powozu prosząc o jałmużnę. Co krok przesuwają się świetne mundury: oficerowie w fezach i szkarłatnych pantalionach, na piersiach ich błyszczą całe rzędy orderów; masztalerze serajowi, w bogatych mundurach, tak że możnaby wziąść ich za jenerałów; gwardya cesarska, w kaskach zdobnych długim plumażem, piersi pokryte złotemi galonami; strażnicy miejscy, z kajdankami w ręku... Strażnicy w Konstantynopolu! to jakby ludzie którymby polecono trzymać w ryzie ocean Atlantycki.

Najdziwniejszą jest sprzeczność jaką stanowi blask złota i bogactwa obok łachmanów; ubiorów tak przeciążonych przystrojeniami i kosztownemi ozdobami, że noszący je wyglądają jak przenośne bazary obok prawie zupełnie nagich tłumów. Można się tu przypatrzéć wszelkim odcieniom skóry ludzkiéj, od mleczno-białéj skóry Albańczyków, do kruczéj czarności dzieci środkowéj Afryki. Widzimy tu piersi, które gdyby w nie uderzyć, zdaje się zadźwięczałyby jak naczynia bronzowe lub rozbiły jak gliniane; ramiona pokryte czerwonemi, niebieskiemi arabeskami, przedstawiającemi kwiaty, gałązki, wersety z Koranu i niezgrabne naśladowanie łodzi i serc przebitych strzałą. Tam znowu przewodnik pokazuje Serbów, Czarnogórców, Wołochów, Bulgarów, Kozaków Dońskich i Ukraińskich, Egipcyan, Tunetańczyków i t. d. i t. d. brak czasu na odróżnienie narodowości. Możnaby myśléć że Konstantynopol jest dziś jeszcze czém był niegdyś: stolicą trzech lądów i królem dwudziestu wicekrólestw. Ale i ta nawet myśl nie odpowiada wielkości widoku, zdaje nam się że patrzymy na jakieś pomieszane wędrówki narodów, spowodowane strasznym kataklizmem który wstrząsnął starym światem. Tak żądni piękna jak szukający szkarady mogą się tu najzupełniéj zadowolnić; Rafael by się zachwycał, Rembrandt darł się za włosy.

Cała ta maskarada ludów wchodzi na statki co chwila odpływające do Skutari, wiosek Bosforu i przedmieść Złotego Rogu; rozbiega się po Stambule, po bazarach, meczetach, do Fanaru i Balata, aż do najdalszych wybrzeży morza Marmora; a daléj ku pałacowi Sułtana, do dzielnic Pera, ogarniając Azyą i Europę, dziesięć miast, sto miasteczek, siecią najróżnorodniejszych interesów, intryg i tajemnic przejmujących zgrozą.

Myliłby się ktoby wnosił że to widok wesoły. Gdy się ochłonie nieco z zadziwienia koloryt posępnieje; już to nie wielki karnawałowy pochód prze-

ciąga przed naszemi oczyma, ale ludzkość cała ze wszystkiemi swemi nędzami, szałami i nieograniczoną różnicą swych praw i wiary: jest to jakby pielgrzymka spodlonych ras i upadłych ludów. To bezmiar nieszczęść domagających się pomocy, hańb któreby zmyć należało, kajdan któreby trzeba skruszyć; strasznych problematów krwią wypisanych i które tylko potoki krwi rozwiązać zdołają — i straszny ten chaos smutkiem przygniata duszę...

Obecnie najlepsza może jest pora poznania muzułmańskiej ludności Konstantynopola: w przeszłym wieku była za jednostajną i taką zapewnie będzie w przyszłym. Teraz właśnie lud ten przechodzi kryzys przekształcenia, i dla tego przedstawia zdumiewającą rozmaitość. Ta różnorodność ubioru przedstawia wiernie postęp reformatorów, opór starych Turków, niepewność i wahanie się wielkiej masy miotającej się między temi dwoma ostatecznościami, słowem wszelkie przejścia i fazy walki między starą a nową Turcyą.

Stary, nieugięty Turek, po dziś dzień jeszcze nosi turban, kaftan i tradycyonalne obuwie z żółtego safianu; im upartszy tém większy nosi turban. Turek reformowany ma na sobie długą zwierzchnią suknię zapiętą pod szyję, pantaliony ze strzemiączkami, ciemnego koloru, sam tylko fez zachowując z dawnego stroju. A nawet najśmielsza młodzież téj kategoryi, odrzuciła już czarne długie surduty i noszą otwarte tużurki, jasne pantaliony, i eleganckie krawaty, breloki, laseczki i kwiaty w dziurce od guzika. Cała otchłań oddziela jednych od drugich: nazwę tylko mają wspólną, ale są to dwa zupełnie odmienne ludy. Turek w turbanie wierzy jeszcze niezachwianie w most Siratu, przeciągnięty po nad piekłem, węższy od włosa a ostrzejszy od ostrza szpady; odbywa ablucye w przepisanych godzinach, i równo z zachodem słońca wraca do domu. Turek w paltocie śmieje się z Proroka, każe się fotografować, mówi po francuzku a wieczory przepędza w teatrze. Pomiędzy nimi są znów środkujący; z tych niektórzy noszą jeszcze turbany ale tak małe iż bez zwrócenia uwagi będą mogli zamienić je na fezy; inni noszą jeszcze kaftany ale już przyjęli fezy; inni nareszcie nie porzucili jeszcze starodawnego stroju, ale nie mają już ani pasa, ani papuci, nie noszą krzyczących kolorów i ci powoli przyjmą ubiór europejski. Kobiety tylko zachowały dotąd zasłony i długie płaszcze okrywające całą osobę, ale zasłony bywają tak przezroczyste iż doskonale przegląda przez nie kapelusz z piórami a płaszcze osłaniają często suknie odrobione według najświeższych żurnali paryzkich.

Corocznie paltoty zastępują tysiące kaftanów; codziennie zamiera stary Turek a powstaje reformowany. Gazety zastępują różaniec, cygara fajki na długich cybuchach, wino czystą wodę, karety araby, fortepiany tamborina, gramatyka francuzka arabską, domy z kamienia drewniane domki. Wszystko widocznie zmienia się i przekształca. Może, nim wiek upłynie, trzeba będzie szukać resztek starej Turcyi gdzieś w głębi najodleglejszych prowincyj Azyi Mniejszéj, jak dziś szczątki dawnéj Hiszpanii tylko w najdalszych i prawie nieznanych wioskach Andaluzyi spotkać można.

Teraz zanim opiszemy stolicę, przedmieścia i osobliwości Turcyi, pomówmy pierwéj o Turkach i Turczynkach.

IV.

Turczynki.

„Tak wszechstronnie i wiele nasłuchamy się zwykle o niewoli kobiet tureckich, iż przybywszy do Konstantynopola nie można dość się wydziwić spotykając je wszędzie i o każdéj porze, tak samo jak w którém bądź z miast europejskich. Możnaby myśléć że właśnie w tym dniu po raz pierwszy wypuszczono na wolność te więzione jaskółki i że rozpoczyna się dopiero era swobody dla muzułmanek. Pierwsze wrażenie jest dość dziwne. Cudzoziemiec widząc wszystkie kobiety udrapowane w długie jaskrawe płaszcze, niby w domina karnawałowe i zasłonięte białemi welonami, stawia sobie pytanie: czy to maski, czy nowicyuszki, czy waryatki? A że ani jednéj nie towarzyszy ktoś z mężczyzn, może wnosić że to same wdowy albo panny lub jeszcze kobiety zaliczające się do niezbyt zaszczytnéj kategoryi. Zdaje się niemożebném aby jakie bądź stosunki łączyły tych Turków i te Turczynki co spotykając się i mijając z sobą nieustannie, mimo to ani spojrzą ani przemówią do siebie. Zatrzymujemy się co chwila przyglądając się tym osobliwszym postaciom i zastanawiając się nad tym dziwnym zwyczajem. Więc to są owe *hanum* i owe tajemnicze odaliski, o których wyczytywaliśmy takie cuda w balladach Wiktora Hugo i innych poetów, i które wyobraźnia nasza przedstawiała nam jakby nadziemskie istoty, których jeden uścisk okupilibyśmy chętnie wszystkiemi skarbami młodości?... Więc to są owe nieszczęsne piękności, ukrywane po za kratami, strzeżone przez eunuchów, oddzielone od świata, jakby widma przesuwające się po ziemi, wydawszy okrzyk rozkoszy i krzyk boleści?... Zobaczymyż wiele jest prawdy w tych poetycznych podaniach.

Najpierw twarze Turczynek nie są już tajemnicą, co niemało przyczynia się do rozwiania poetycznego uroku. Owa zazdrośna zasłona, która według słów Koranu, miała być „oznaką cnoty i hamulcem przeciw ludzkiéj gadaninie" jest dziś tylko pozorną. *Yachmak* (zasłona) składa się z dwóch białych welonów, z których jeden owinięty około głowy, zasłania czoło aż do brwi i związuje się z tyłu głowy pod włosami; oba końce spadają aż do pasa; drugi welon osłania niższą część twarzy i łączy się z pierwszym, tak iż zdają się tworzyć jedną zasłonę. Ale yachmaki te, które powinnyby być zrobione z gęstego muślinu i tylko oczy zostawiać odkryte, są dziś noszone z bardzo cienkiego i przezroczystego tiulu, i tak lekko zarzucone, iż dozwalają widzieć nietylko twarz, ale uszy, szyję, warkocze, a często małe kapelusiki europejskich fasonów, przybrane piórami i kwiatami, jakie noszą „damy reformowane." Dawniéj tylko starszym kobietom wolno było wychodzić z twarzą nie tak szczelnie zasłoniętą, dziś przeciwnie, młode i piękne noszą zasłony bardzo przezroczyste a starsze i brzydkie bardzo gęste. Jest to także bajka wymyślona przez romanso-pisarzy, że mąż dopiero w dniu wesela pierwszy raz widzi twarz swéj żony. Tylko figury ani rąk nie można dobrze widzieć, gdyż osłania je zupełnie *feredżija*. Jest to rodzaj płaszcza z peleryną, długi i szeroki, z bardzo długiemi rękawami, spadający od ramion aż do stóp. W zimie noszą je sukienne, w lecie jedwabne, w jednym ale zawsze jaskrawym bardzo kolorze, n. p. w czerwonym, pomarańczowym, zielonym, odnośnie do tego jaki w którym roku jest modniejszy, ale krój nigdy się nie zmienia. Choć feredżija podobna trochę do worka, jednak Turczynki umieją drapować go tak powabnie, że piękne wydają się zachwycające a brzydkie ładne. A jak artystycznie i uroczo układają te yachmaki! Zdaje się że głowy niektórych otacza mgła biała i przezrocza, którą lada podmuch rozwieje; innych głowy osłaniają jakby zwoje lilii i jaśminu; wszystkie Turczynki wydają się bardzo białe, dzięki tym zasłonom nadającym im cerę alabastrową, nadzwyczaj świeżą.

„Trudno jest określić piękność Turczynek; mówi p. de Amicis, są bardzo białe, mają wielkie czarne oczy, koralowe usta i jakąś słodycz rozlaną w twarzy — oto co powiedzieć mogę. Ale to pewna że używają bielideł, przedłużają brwi tuszem chińskim, farbują powieki, malują sobie czarne koła pod oczami, przylepiają muszki na policzkach. Mają zazwyczaj twarze owalne, małe nieco zgięte noski, usta może nieco za grube, podbródek okrągławy z dołeczkami, jakie niektóre mają i na policzkach; długą łabędzią szyję. małe rączki, zawsze prawie zakryte rękawami feredżii. Niemal wszystkie są wzrostu więcéj trochę niż średniego i dość dobréj tuszy — chude i szczupłe są nader rzadkim wyjątkiem. Możnaby im zarzucić pewne pochylanie się i chód chwiejący, jakby dzieci nagle dorosłych; przypisują to nadużywaniu kąpieli a po części obuwia nie trzymającemu się nóg. I rzeczywiście można spotykać kobiety piękne i eleganckie, mające pewnie maleńkie nóżki, obute w męzkie papucie lub długie szerokie i rozklepane buty, któremi pogardziłaby najbiedniejsza Europejka. Jednak mimo to mają jakiś wdzięk dziecięcy, który przyzwyczajonym do niego może się podobać. Nie zdarzyło mi się nigdy spotkać między nimi tych postaci sztywnych jak lalki z wystaw magazynowych, chodzących jak maryonetki skaczące po szachownicy, jakich tak pełno jest we wszystkich miastach europejskich. Spotyka się po ulicach twarze bardzo ładne i najróżnorodniejsze piękności, gdyż krew turecka pomieszana jest z czerkieską, arabską i perską. Widzimy tu matrony trzydziestoletnie bardzo pełnych kształtów, które *feredżije* nie zupełnie maskują, z wielkiemi ciemnemi oczami, wilgotnemi ustami, rozszerzonemi nozdrzami, *hanum* na których spojrzenie drży stu niewolników, patrząc na nie podziwiamy odwagę i zarozumiałość panów Turków, poważających się pojmować cztery podobne żony. Inne są nizkie, tłuściutkie, okrąglutkie, u tych wszystko jest okrągłe lub okrągławe, twarz, oczy, nos, usta, i mają minę tak potulną i cichą, tak młodziutką i z tak pokorną rezygnacyą zdają się poddawać swemu przeznaczeniu, czyniącemu z nich zabawkę i rozrywkę, słowem tak zakrawają na dzieci, iż przechodząc koło nich bierze koniecznie chęć włożyć im karmelek w usta. Ale bywają także i wysmukłe postacie, mężatki szesnastoletnie, z żywém i śmiałém wejrzeniem, z których oczu można wyczytać rozgrymaszenie i zuchwałą przebiegłość — o! te widząc, litość bierze nad biednym *effendi* i eunuchem mającym ich strzedz i pilnować.

„Całe miasto i cały otaczający krajobraz przyczyniają się dziwnie do uwydatnienia ich piękności i stroju. Trzeba widzieć jedną z tych mgłą tiulową. osłoniętych postaci, w szkarłatnéj *feredżii*, siedzącą w kaiku sunącym po lazurowych wodach Bosforu, leżącą na ciemnéj murawie cmentarza, lub też idącą wązką uliczką gdy wiatr unosząc nieco zasłonę i *feredżiję* odsłania nieco figurę, szyję i nóżki — o! wierzajcie mi, gdyby do téj chwili obowiązywał jeszcze pobłażliwy dekret Solimana Wspaniałomyślnego, skazujący na karę jednego *aspre* za pocałowanie cudzéj żony lub córki, sam Harpagon przekląłby i wyrzekł się swego skąpstwa i zapłacił chętnie *aspra*."

Turczynki mają właściwy sobie sposób patrzenia i śmiania się, który daje powód do najśmielszych posądzań i sądów. Często się zdarza, iż gdy młody Europejczyk wpatruje się śmiało w jakąś choćby największą damę turecką, ona spojrzy na niego pięknie lub nawet się uśmiechnie; nieraz także piękna *hanum*, jadąca karetą, w tajemnicy przed eunuchem uprzejmie pozdrowi ręką młodego Franka,

postrzegłszy że mu się podobała; a niekiedy nawet na cmentarzu lub w jakiejś odosobnionéj uliczce, rzuci lub upuści kwiatek, z widoczną myślą aby go podniósł idący za nią giaur — i dla tego to zarozumiali podróżnicy, po miesięcznym pobycie w Konstantynopolu, pewni są że zakłócili spokój setkom nieszczęśliwych Turczynek. Zapewnie że takie ich postępowanie może niekiedy być niewinną oznaką jakiejś sympatyi, ale najczęściéj jest tylko wynikiem buntu przeciw swoim panom i mężom, kiełkującym w sercach wszystkich Turczynek; za podległość w jakiéj są trzymane, mszczą się bezmyślną zalotnością, aby módz w duchu śmiać się ze swych *effendich.*

(*d. c. n.*)

Korespondencya Zagraniczna.

Rzym 15 grudnia.

Podatki od mlewa i szkodliwy jego wpływ na stan zdrowia ludności. Rozboje w Sycylii i Sardynii. Proces Franciszka Amato. Artykuł pana A. Bertololti „O Dziennikarzach, Astrologach i Nekromatach. Chrzest i spuszczenie na morze okrętu *Dandolo.* Włoski przekład książki pana Busch'a *„Ks. Bismark i jego ludzie!“*

(Dalszy ciąg).

W ostatnich numerach poważnego *Revista Europea* pan A. Bertolotti podał nader zajmujący artykuł o *„Dziennikarzach, Astrologach i Nekromantach w Rzymie, w siedmnastym wieku“* podaję go w treści.

Dziś dziwném się wydaje widzieć te trzy nazwy zestawione obok siebie, ale w siedmnastym wieku często dziennikarze bywali zarazem astrologami a niekiedy i nekromantami.

Wiadomo, że dzisiejsze gazety biorą swój początek od zawiadomień czyli zbiorów wiadomości codziennych, kompilowanych wyłącznie dla ambasadorów i innych osobistości zajmujących się polityką. Znane są także edykta z 1571 i 1572 roku, zakazujące „nowego rzemiosła“ tak zwanych „avisatori“ i ostrzegające kardynałów aby króciéj trzymali swoich sekretarzy, którzy najczęściéj stają się gazeciarzami albo „menanti'sami czyli kopistami. Jednak pomimo iż niektórzy przekroczenie tego edyktu przypłacili głową, „nowe rzemiosło“ rozkrzewiało się coraz więcéj, jak o tém przekonywają pamiętniki Salvatora Bongi, o pierwszych gazetach włoskich.

W początkach już siedmnastego wieku, było w Rzymie bardzo wielu „menantis“; nazwa ta oznaczała po prostu „kopistów czyli przepisywaczy“ z pewnym odcieniem pogardy. Nie należy jednak ówczesnych przepisywaczy uważać za dzisiejszych kancelistów, gdyż wówczas przepisywaczami takimi bywali wyłącznie niemal literaci, uczeni, sekretarze książąt lub prałatów, którzy za pośrednictwem ich rozszerzali wiadomości ze stolicy, intrygi dworskie, plotki i właśnie zachodzące między szlachtą i t. p.

W początkach, główném zadaniem każdego „menanti“ było proste zbieranie jak najświeższych i najpewniejszych wiadomości, powoli jednak, wnikając głębiéj w swój przedmiot, zaczęli oni je komentować, przez co stawali się, jak się to dziś mówi, redaktorami „artykułów wstępnych“ a nareszcie gdy tak wypadło iż ktoś zdaniem ich tryumfował niesłusznie wtedy pozwalali sobie krytykować i pisać satyry — i oto początek pism humorystycznych. W samym Rzymie jednak satyry „menantis'ów poprzedziły „pasquinady“ wielkiém cieszące się powodzeniem.

Ponieważ takie „kopie“ były nadzwyczaj trudne do zdobycia, i nie mogły zadowolnić znacznéj liczby osób pragnących poznać świeże i pewne wiadomości, więc nie mogąc ich znaleźć na ziemi zwrócono się ku niebu, to jest do astrologii sądowéj (wyrokującéj o sprawach ludzkich, z położenia gwiazd) zasięgając tym sposobem przepowiedni politycznych i horoskopów różnych osób.

Dziś, gdy dziennikarstwo uważane jest za czwartą z rzędu potęgę społeczną, a przecież nie wszyscy jego apostołowie — i nie wszędzie — mają kwieciem zasłaną drogę życia, ale jakże to świetném jednak jest ich położenie w porównaniu z położeniem owych dawnych kopistów, którzy zawsze prawie byli biedni i często srodze prześladowani. Dość powiedzieć że rozporządzenia z 12 lutego 1655 i z 5 lutego 1691 stawiają ich na równi z potwarcami, denuncyantami, szulerami, i kobietami złego życia, jeżdżącemi karetami. Niedość na tém, tak piszący gazety jak i odbierający je, zagrożeni byli karą śmierci i konfiskatą majątków.

Zarówno jak obecnie, większa część współpracowników gazety kryje się pod osłoną głównego i odpowiedzialnego redaktora i pozostaje nieznana czytelnikom, tak i większéj części dawnych kopistów nie znamy nawet z nazwiska, i tych tylko wspomnienie przechowało się do naszych czasów, którzy padli ofiarą swego zawodu. Za przykład niech posłuży proces jaki się toczył w Rzymie w 1630 r. „za znieważające pisma i astrologią.“ Ważny on jest z tego względu iż odnosi się do gazeciarzy i astrologów i jest w nim mowa o wielkich żyjących wówczas geniuszach, jak Galileo Galilei, Tomasso Campanella, poeta Bracciolini, Teodor Almeiden, ojciec Rafael Visconti i wielu innych.

Niejaki Horacy Morandi, pierwéj opat w Vallombreuse a następnie przeniesiony do klasztoru Ś. Prasedy w Rzymie, był to człowiek wysoko ukształcony i przyjmujący czynny udział w intrygach politycznych swego czasu, kopistom swoim dyktował on nietylko wiadomości ale rozprawy i ocenę głównych politycznych zajść europejskich. Oprócz innych kopistów, i zakonników swoich używał do przepisywania.

Żył on w blizkich stosunkach z literatami i uczonymi ówczesnymi, których zapraszał i bardzo gościnnie podejmował w swém opactwie; gdy Galileusz przybył do Rzymu w 1630, był jego gościem. Korespondował z najpierwszymi znakomitościami we Florencyi, Siennie, Bergam, Mediolanie, Neapolu, Turynie, odbierał od nich różne wiadomości, artykuły, wiersze satyryczne, przewidywania i przepowiednie, które rozgłaszał lub rozpowszechniał w świecie politycznym za pomocą licznych tajemnie rozsyłanych kopii. Gdy tylko któryś z kopistów rzymskich — a było ich tak wielu — zdobył jakąś nieznaną wiadomość, biegł z nią do opata Ś. Prasedy, który zawsze nabywał podobny towar; uważali go też za swego Mecenas'a, czyli jakby się dziś powiedziało, jeneralnego dyrektora gazet.“

Najgłówniéj jednak opat zajmował się wywodzeniem horoskopów, z roku, z dnia, z miesiąca, godziny i minuty rodzenia, przepowiadając przyszłość z biegu gwiazd w tejże epoce.

Wiadomo że astrologia jest to sztuka przepowiadania przyszłości z wejrzenia ciał niebieskich; dla ułatwienia Czytelniczkom „Tygodnika“ zrozumienia co niżéj powiem o tym słynnym procesie, podam tu niektóre elementarne dane, przynajmniéj odnoszące się do téj sprawy.

Według twierdzenia astrologów wszelkie cnoty i właściwości niższych rodzai, zależą od gwiazd, tak że nietylko każdy człowiek ale nawet wszystkie członki ciała ludzkiego posiadają jakąś planetę któréj wpływom podlegają. Tak dowodził Bonatti, profesor astrologii w uniwersytecie Bolońskim i inni uczeni, twierdząc że wszystko cokolwiek dzieje się na świecie, było już pierwéj oznaczone obrotem gwiazd.

W początkach astrologia ograniczała się do kilku krótkich zasad i praw, ale w kolei wieków pomnażały się one ciągle, gdyż każdy astrolog dodawał jakieś obmyślone przez siebie prawidło. Rozpowszechniła się wiara we wpływ gwiazd na losy i czynności ludzkie. Stanowczą w życiu człowieka była chwila urodzenia, ze stanu różnych gwiazd w tejże chwili przepowiadano losy nowo-narodzonego.

Świat cały i pojedyncze państwa podlegały wpływom konstellacyi. Kto się rodził pod wpływem Wenus, miał być skłonny do miłości, czyli jak to mówią kochliwy; kto pod wpływem Marsa, lubił niebezpieczeństwa i wojnę; pod wpływem Jowisza był wesoły, Saturna melancholiczny. Słońce, promieniami swemi zlewa na ludzi doświadczenie, szczęście, zyski, sukcesye, Wenus przyjaźń i miłość; Merkury zsyła choroby, straty i długi, kieruje handlem. rządzi postrachem; księżyc, ten piękny, romantyczny księżyc, rozrządza ranami, snami i kradzieżami. Uznawszy łączność i stosunek rzeczy ziemskich z niebieskiemi, nadzwyczaj wiele zależało na obserwowaniu położenia, ruchu i wejrzenia gwiazd i planet. Astrologowie dzielili dzień na cztery części, oddzielone czterema punktami kątowemi, to jest wschodem słońca, środkiem nieba, zachodem słońca i dołem nieba; zaś te cztery części, każda podzielona znów na trzy, tworzyły razem dwanaście tak zwanych „domów słońca“ których własności astrologowie uważali za najważniejsze tajemnice ich nauki.

Te cztery „kąty“ były to najpotężniejsze domy słońca, choć nie równéj potęgi. Najpotężniejszą ze wszystkich był pierwszy. Dziesiąty „dom słońca“ wywierał przeważny wpływ na wszystko co się odnosiło do chwały i potęgi ziemskiéj. Drugi, piąty, ósmy, mniejsze miały znaczenie; jedenasty wyrokował czy szczęście sprzyjać będzie; trzeci, szósty, dziewiąty, były najsłabsze; dziesiąty wpływał na dostojeństwa duchowne.

Każda planeta miała jeszcze swoje dni i godziny, a z tych godzin pierwsza, każdego dnia, tak w dzień jak w nocy była męzką, druga kobiecą i tak na przemian aż do ostatniéj, i dla tego astrologowie największą zwracali uwagę na godzinę urodzenia. Powodzenie lub niepowodzenie w życiu, zależało od położenia planety dominującéj; długość życia od jéj położenia od słońca i od „zabójców“ głównych, Saturna i Marsa. Jeźli zeszły się na niebie trzy znaki jednakiéj natury, tworzyły tak zwane „wejrzenie potrójne“ uważane za bardzo pomyślną wróżbę; sześć jednakich znaków zwiastowały bardzo mierne powodzenie, cztery złe.

Opat Morandi zgromadził wybór najcelniejszych dzieł astrologicznych i politycznych, do których uciekali się Ameiden, Rafael Visconti i najbieglejsi ówcześni astrologowie. Morandi udzielał im rad i wskazówek i objaśniał najzawikłańsze części astrologii. Z papierów jego zasekwestrowanych można się przekonać że był znany w całéj Europie, a sława jego rozgłośniejszą się jeszcze stała, gdy w roku 1630 ze swoich dochodzeń astrologicznych wyprowadził twierdzenie: że panujący wówczas papież Urban VIII umrze tegoż roku. Korzystał z tego odkrycia jako dziennikarz, a artykuły jego odnośne i rady tyle znalazły wiary, iż wielu kardynałów

cudzoziemskich pragnących przyjąć udział w konklave, przybyło do wiecznego miasta.

Inni astrologowie, a między nimi ksiądz Gerard z Padwy i Franciszek Lamponi, sprawdzali jego obliczenia i tenże sam otrzymali rezultat; jeden tylko Rafael Visconti, profesor matematyki w Rzymie, ten któremu późniéj polecono przejrzéć pisma Galileusza, inaczéj wywnioskował, według jego obliczeń: papież mógł żyć do 1643 lub 1644 roku. Napisał o tém rozprawę i czytał ją wielu prałatom, jednak wierzono powszechnie w przepowiednię Morandi'ego, że Urban VIII umrze 1610 r.

Te złowrogie przepowiednie spowodowały wytoczenie procesu przeciw przywódzcy astrologów rzymskich, opatowi Ś. Praksedy i jego wspólnikom, jednak nie oddano sprawy pod surowy sąd inkwizycyi, tylko polecono gubernatorowi Rzymu wyprowadzić śledztwo przygotowawcze, nadając mu najrozleglejsze pełnomocnictwo.

Wydelegowany sędzia udał się do opactwa Ś. Praksedy, opieczętował najpierw bibliotekę zamierzając przejrzéć ją następnie, a opata zaprowadził do więzienia Torre di Nouo. Powróciwszy do opactwa dla zabrania książek i papierów, sędzia ów był niewymownie zdziwiony nie znalazłszy w bibliotece nic nagannego, i już miano zaniechać procesu gdyby nie nierozwaga i wielomówność Teodora Ameiden znakomitego dziennikarza i autora wielu dzieł.

Ten Ameiden był od lat dwudziestu pełnomocnikiem zakonu Ś. Praksedy: otóż jeden ze sług opata powiedział mu w zaufaniu, że dla tego w bibliotece nic nie znaleziono, iż odjęto jedną z tylnych desek i usunięto z niéj zręcznie wszelkie mogące skompromitować opata książki i pisma. Część ich ukryto a resztę palą częściami.

Ameiden powiedział to w pewnéj księgarni jednemu ze znajomych, dość głośno że wielu obecnych słyszało; wieść ta doszła do wiadomości sędziego, który różnemi środkami potrafił dowiedziéć się gdzie ukryto papiery, i zabrał co nie spalono jeszcze.

Morandi przyznał że są jego własnością i nie zaprzeczał że pracował nad wyprowadzeniem horoskopu Urbana VIII oraz że był gazeciarzem. Śledztwo wykazało wielu współwinowajców. Wszyscy badani zeznali że jedynie z ciekawości i dla wykazania bezzasadności astrologii sądowéj zajmowali się jéj zbadaniem. Jakkolwiek i Visconti w liście do prokuratora utrzymuje iż tylko dla wykazania braku wszelkiéj jéj podstawy zajmowali się astrologią, nie ulega przecież wątpliwości że był jéj adeptem i chlubił się swém wyrachowaniem, według którego oznaczył, (jak się to sprawdziło), że Urban VIII umrze najdaléj w 1644 r.

Co do opata Morandi, ten zachorował w więzieniu i umarł po dziesięciodniowéj chorobie; mniemano powszechnie że został otruty, ale trzech doktorów poświadczyło że śmierć nastąpiła skutkiem zgniłéj gorączki. Nie wierzono jednak ich świadectwu.

Proces ten wykazał jasno jak głęboko wierzono wówczas w astrologią i astrologów, skoro mieli najzapaleńszych zwolenników w pośród potężnych monarchów, a nawet w otoczeniu papieża w pośród otaczających go duchownych i najbliższych krewnych, którzy nie wahali się uciekać do nich, aby poznać jego i swoją przyszłość. I trudno się temu dziwić; nauki nie stały wtedy na tak wysokim jak dziś stopniu rozwoju; przekonano się że słońce i księżyc niezaprzeczony wpływ wywierają na ziemię, że od pierwszego mianowicie zależą pory roku, temperatura i urodzajność ziemi, mogło więc im się wydawać bardzo naturalném, że i wszystkie ciała niebieskie mają niezaprzeczenie związek z człowiekiem i z kulą ziemską, a tém samém muszą wywierać swój wpływ tak na cały rodzaj ludzki jak i na pojedynczych ludzi.

(d. n.)

O niektórych zabytkach

literatury staro-egipskiéj *)

przez

L. Szczerbowicza Wieczora.

Przywykliśmy podziwiać i uwielbiać cywilizacyą starożytnych Greków, jako początek i podstawę całéj umysłowéj kultury późniejszych stóleci a ten podziw i uwielbienie są dziś jeszcze zupełnie słuszne i żadne nowsze badania naukowe nie są w stanie uszczuplić olbrzymich zasług tych przodków naszéj cywilizacyi. Nadto, przez czas jakiś panowało powszechne przekonanie, że cywilizacya helleńska była zupełnie samodzielną i oryginalną: że Grecy stworzyli i wysnuli wszystko samodzielnie z głębin własnego ducha, wolni od wszelkiego naśladownictwa, bez wzorów i bez poprzedników. Wprawdzie sami Grecy przyznawali, że wzięli nie mało nasion cywilizacyjnych ze wschodu: podania i wiadomości historyków starożytnych, równie jak mytologia, pomniki sztuki i tradycye naukowe świadczą niewątpliwie o wpływach Egiptu, Fenicyi i Chaldei; ale nowsi uczeni uznali za przesadzone lub bajeczne wiele z tych podań i z niedowierzaniem słuchali wieści o dziwnéj mądrości starszych od Greków narodów, a głównie Egipcyan. Dziś ten pogląd z konieczności znowu uległ zmianie czyli raczéj nastąpił powrót do dawnego poglądu, już przez samych Greków wyznawanego, a mianowicie że cywilizacya grecka nie była najstarszą: i nie mówiąc już bowiem o Chińczykach, których prastara kultura nie wywarła żadnego wpływu na cywilizacyą europejską i dla tego prawie żadnego nie ma dla nas znaczenia, najnowsze odkrycia i badania w sferze dziejów starożytnego wschodu, nie pozwalają nam już wątpić, że prawie wszystkie uprawiane przez Greków nauki, znaczna część utworów literackich i formy sztuk pięknych powstały i doszły do pewnego rozwoju nad Nilem i Eufratem w epoce niezmiernie odległéj, gdy Grecy stanowili jeszcze nieodłączną cząstkę prastarego narodu aryjskiego i pędzili życie nawpół dzikie gdzieś tam nad brzegami rzeki Oxus lub u stóp gór himalajskich. Przyszedłszy do Europy i zająwszy późniejsze swoje siedziby, może na 2,000 lat przed Chrzystusem, plemię greckie nie mogło wprawdzie nic zapożyczyć od poprzednich mieszkańców Europy — wpółdzikich autochtonów — ale w stosunkach, przeważnie handlowych, że wschodem, przy pośrednictwie głównie Fenicyan, zaczerpnęli z Azyi i z Egiptu wielu pierwiastków cywilizacyi tam już oddawna kwitnącéj, a nawet przekwitającéj. Rozumie się, że nie zaczerpnęli tam Grecy *wszystkiego* gdyż wiele stworzyli sami, na mocy właściwości i poglądów plemiennych, religijnych i obyczajowych, a zresztą i to co wzięli od poprzedników, przekształcili podług wymagań swego ducha, owionęli odrębnym tchem aryjskiego geniuszu i zestawili wszystkie, tak własne jak i zapożyczone żywioły cywilizacyjne, we wspaniały gmach jednolity, który tylko w takiéj formie mógł stać się przydatnym dla późniejszego rozwoju cywilizacyi prawdziwie ludzkiéj, humanitarnéj wieków następnych. Tak więc, powtarzamy, ta okoliczność że Grecy mieli poprzedników i w wielu rzeczach nauczycieli, bynajmniéj nie uszczupla zasług tego genialnego narodu, jak nie uszczupla zasług budowniczego to, że używa materyałów, przez innych wygotowanych ani to że widział inne podobne budowy, témbardziéj gdy owe budowy były nieudatne i gdy sam budowniczy także przysposabia wiele nowego materyału. Taki, mniéj więcéj, jest pogląd nauki na stosunek cywilizacyi greckiéj do zarodowych, że tak powiemy cywilizacyi starożytnego wschodu.

Egipcyanie, to już chyba z pewnością, nie mieli żadnych poprzedników na polu cywilizacyi. Epoka założenia najdawniejszéj monarchii nad Nilem sięga, podług Lepsiusa, 5004 roku, a podług Bunsena — 3623 roku przed Chr. to jest czasów, gdy w świecie historycznym, przynajmniéj o ile sięgają najstarsze odgłosy podań i odkrycia paleontologiczne, nie istniała wcale kultura umysłowa a nawet jest rzeczą wątpliwą, czy były już wówczas zarody rolnictwa i czy znano użytek bronzu. Może więc Egipcyanie zajęli kraj swój jeszcze w okresie kamiennym, może oni właśnie wynaleźli rolnictwo wcześniéj nawet od plemienia aryjskiego. Zdaje się bowiem rzeczą niewątpliwą, że od pierwszych chwil pobytu nad Nilem mieszkańcy musieli koniecznie zostać rolnikami, gdyż Egipt mógł wyżywić tylko rolników. Byli zaś Egipcyanie przybyszami—prawdopodobnie z Azyi, któréj połowę zachodnią zajmowało w owéj odległéj epoce plemię zwane chamickiém, odrębne od semitów i jafetydów, które w cudownie dokładnéj i zdumiewającéj etnografii ksiąg Mojżeszowych, miało pochodzić od wyklętego przez ojca Chama. Noe, jak mówi Pismo Święte, przeklął całe potomstwo Chama za sprosną nieprzyzwoitość ich protoplasty i przepowiedział chamitom stanowisko podrzędne i niewolę u potomków obydwóch szlachetniejszych braci. Istotnie plemiona chamickie — w Egipcie, Chanaanie, Babylonii,

*) Artykuł powyższy jakkolwiek poświęcony badaniom czasów niezmiernie starożytnych, bo sięgających przeszło na półszósta tysiąca lat przed Chrystusem, zawiera jednak tak wiele ciekawych szczegółów, że zająć potrafi każdy umysł poważniéj zastanawiający się. Przedstawia on owoce badań uczonych, zebrane ze ścian piramid, świątyń, grobowców, sarkofagów, powijaków mumii oraz papyrusów, a to co z nich z niezmiernym mozołem odczytane zostało, zawiera tyle myśli pięknych, że prawie uwierzyć trudno aby z tak odległéj epoki pochodziło. Pomniki te odnajdywane w rozmaitych czasach, pomieszczone zostały we wszystkich niemal muzeach znaczniejszych Paryża, Londynu, Berlina, Turynu i innych przystępnych dla wszystkich pragnących się z niemi bliżéj zapoznać. Artykuł niniejszy właśnie znaczenie ich objaśnia, stanie się więc niejako przewodnikiem dla podróżników polskich, chętnie w stolicach europejskich zwiedzających wszelkie muzea starożytności.

Ale nie idzie już tu o samo jedynie zaspokojenie ciekawości, w poznaniu wyrobów myśli ludzi pleśnią prawie sześćdziesięciu wieków okrytych. Zdobycze te uczonych przeobraziły prawie z gruntu dotychczasową historyą polityczną Egiptu, a jakkolwiek Szanowny Autor, nie wdaje się w szczegółowe określenie błędów dotąd za prawdę historyczną podawanych, dobrze jednak wiedziéć, że dotychczasowe następstwo Faraonów i ich dynastyi, przeważnie z opowiadań Herodota zaczerpnięte, a u nas przechowujące się jeszcze dotąd w podręcznikach szkolnych i w wykładzie historyi, nie jest zgodném z rzeczywistością.

Otóż wszystkiemi temi względami powodowani, artykuł powyższy pana L. S. W. polecamy Czytelniczkom naszego Tygodnika i mamy nadzieję że potrafi obudzić prawdziwe zajęcie jak na to rzeczywiście zasługuje.

(Redakcya)..

i Indyach—odznaczały się pewnym bezwstydem, sprosnemi obyczajami, brakiem poczucia swobody i godności ludzkiéj, zamiłowaniem niewoli. Ich obrzędy religijne, wojny i napady nacechowane były nagim bezwstydem i okrucieństwem: ich sztuki, urządzenia społeczne i nauki, nawet w Egipcie, mają na sobie piętno niewolniczości ciała i ducha, przygniecionych wpływem przyrody zewnętrznéj i ucisku społecznego. Przekleństwo niewoli spełniło się całkowicie na tém plemieniu: dziś ono już prawie wygasło, a nędzne resztki (Koptowie, Tuaregi, Kabyle) pozostają dotychczas w niewoli u semitów i jafetydów. Obecnie już nie ma wątpliwości, że starożytni Egipcyanie należeli do tego upośledzonego szczepu o skórze brunatnéj czyli raczéj popielatéj; z tąd Herodot nazywa ich *czarnymi* (melanes); co raczéj znaczy *ciemni*, *czarniawi*, *) gdyż wyobrażenia na pomnikach i mumie nie pozwalają odnieść ich do szczepu murzyńskiego, ale także przedstawiają cechy odrębne od cech rasy białéj, a więc stanowczo sprzeciwiają się zaliczeniu Egipcyan do semitów. Wspomniane cechy charakteru narodowego i świadectwo Mojżesza popierają świadectwo Herodota o należeniu Egipcyan do rasy chamickiéj. Upadło również panujące jeszcze niedawno w nauce mniemanie, jakoby Egipt został zaludniony z południa, z bajecznego Meroe po za kataraktami Nilu: przeciwko temu zdaniu przemawia głównie ta okoliczność, że najdawniejsza monarchia powstała nie w południowym czyli w górnym Egipcie, lecz w północnéj części środkowego i to jeszcze druga, że wszystkie znalezione w przypuszczalném Meroe pomniki sztuki egipskiéj, pochodzą, jak przekonano się o tém po odczytaniu napisów, z czasów średniéj monarchii egipskiéj, XIX i dalszych dynastyi (po 1400 roku przed Chr.) i zostały tam wzniesione dopiero po podbiciu tych krain przez Faraonów. Skoro więc Egipcyanie nie przyszli od południa i najpierwéj zjawili się w północnéj części kraju, nie mogli więc przybyć z zachodu — z pustyni — ani z północy od strony morza, do którego Egipcyanie zawsze czuli wstręt religijny, ale jedynie przez międzymorze suezkie z Azyi. Osiadłszy w Egipcie, plemię chamickie rozwijało się już zupełnie samodzielnie, od reszty świata odcięte pustynią i morzem. Chwilowy najazd nienawistnych pasterzy-semitów (Hyksosów) i późniejsze stosunki podbojowe z Azyą, nie wpłynęły na cywilizacyą egipską, już wtedy zupełnie wyrobioną i przekwitającą (2000 — 1300 przed Chr.).

Ze wzmiankowanych powyżéj cech duchowych plemienia chamickiego, które, podług Biblii, były owocem przekleństwa — z owego przygnębienia pod naciskiem zewnętrznéj przyrody i z uzdolnienia, które nazwalibyśmy geniuszem niewoli — powstały te zdumiewające i przerażające straszliwym ogromem gmachy i pomniki sztuki grubéj, do ziemi przykutéj, a wykonane przymusową cierpliwą pańszczyzną milionów, jakiéj podobnéj nie napotykamy w dziejach i dla tego téż nigdzie więcéj na świecie nie napotykamy tylu i tak olbrzymich kamiennych owoców niewoli, będących zarazem pomnikami pychy ciemięzców, po większéj części nieużytecznemi. Dziwaczny objaw religii egipskiéj — ubóstwienie zwierząt — najdobitniéj świadczy o niewolniczym stosunku tego narodu do przyrody.

Tém godniejszą wszelako uwagi i uznania jest rzeczą, że ten naród tak przybity i z musu pracowity a do pojęcia swobody moralnéj i wszelkich ideałów tak mało zdolny, założył podwaliny tylu nauk, a niektóre z nich doprowadził do zdumiewającéj doskonałości, o ile sądzić możemy, ze szczupłych tradycyi i niektórych nowszych odkryć, świadczących że Egipcyanie dokładnie znali wiele rzeczy, które uważamy zwykle za zdobycze czasów nowożytnych. **) Co więcéj, dziwny ten naród nietylko pierwszy na świecie wynalazł pismo i literaturę—najdawniejsze hieroglify znalazł Lepsius na małéj piramidzie z czasów króla Keken II dynastyi, a więc z 4-go. mniéj więcéj tysiąclecia przed Chrystusem—ale w niektórych utworach treści religijnéj, moralnéj i poetyckich zdołał wznieść się na wyżyny pojęć wzniosłych i szczytnych stanowiących i dziś jeszcze chlubę ludzkości. Upośledzone i biedne plemię Chama czuło też niekiedy w swych piersiach iskrę Bożą i potrafiło czasem unosić się ku świetlanym ideałom: i chamici bowiem byli także ludźmi, a niektórych szczytnych zapędów ducha ludzkiego nie zdoła nic przytłumić—nawet przygniatająca ciało i ducha niewola, która była już niejako stanem naturalnym tego plemienia. Z tego to właśnie względu zamierzyliśmy podać tu krótką wiadomość o niektórych niedawno odkrytych zabytkach literatury egipskiéj, tém bardziéj że w literaturze naszéj, nie wyłączając dzieł i podręczników historycznych, o tym przedmiocie zupełnie niemal głucho. O pomnikach egipskich wiemy daleko więcéj; zabytki zaś literackie, zaledwie w ciągu ostatniego półwieku odkryte, mało zostały uwzględnione w tych dziełach historycznych obcych, które—z niezbyt trafnym wyborem—zostały na nasz język przełożone; najnowsze zaś odkrycia Lepsiusa, Brugscha, Maretta, Rawlinsona, Eberta, równie jak dzieła tych i wielu innych pisarzy pozostają u nas całkiem nieznanemi. Starożytne to wprawdzie rzeczy, a u nas niektórzy stereotypowo wzruszają ramionami na rzeczy stare, nie mające, jak powiadają, związku z „kwestyami bieżącemi“ i „interesami chwili“: a jednak—co nas nie dziwi—narody, które właśnie najwięcéj zaprzątają się interesami chwili bieżącéj, narody, jak np. Anglicy, najpraktyczniejsze, mające możność nietylko mówić ale i działać wszechstronnie, z zamiłowaniem badają odległą przeszłość i zarody cywilizacyi ludzkości. Odważamy się więc wystąpić z niniejszym artykułem w tém przypuszczeniu, że znajdzie się u nas grono poważnych czytelników, którzy na wzór Francuzów i Anglików nie mają pogardy dla rzeczy starych, które działy się lub powstały przed kilkoma lat tysiącami.

(d. c. n.)

*) Herod. II. 57.

**) W N 10 Kroniki Rodzinnéj z 1877 r. w artykule Tajemnica wielkiéj piramidy „podane są, według źródeł angielskich“ zadziwiające wnioski o astronomicznych i matematycznych wiadomościach Egipcyan, oparte na wymiarach piramidy Cheopsa (Chufu). Ważniejsze z tych wniosków są następujące: powierzchnia każdéj z czterech trójkątnych ścian piramidy równa się powierzchni kwadratu z wysokości; stosunek wysokości piramidy do powierzchni podstawy jest stosunkiem promienia koła do jego obwodu; wysokość piramidy jest miliardową częścią odległości ziemi od słońca, a więc podstawa piramidy jest miliardową częścią olbrzymiego koła, które ziemia w swym ruchu około słońca zakreśla; cała piramida ma ważyć tysiąc bilionową część tego, co waży ziemia, a znaleziony we wnętrzu piramidy sarkofag, napełniony wodą ma ważyć pięcio-milionową część wagi całéj piramidy; łokieć Egipski, który w całkowitych liczbach zastosowany został do wymiaru piramidy, ma wynosić dwudziesto-milionową część osi ziemskiéj a wewnętrzny korytarz w piramidzie ma być tak urządzony, ażeby służył do obserwowania tych gwiazd, których przejście przez południk szczególniéj jest ważném dla określenia długości roku.

Nowe wydawnictwa.

Z dziennika starego dziada opisane przez J. I. Kraszewskiego. Całe opowiadanie dotyczy starego poczciwca, który zupełnie osamotniony żyje sam na świecie utrzymując się ze skromnego nader fuduszku. Zacny sercem i duszą, ożywiony prawdziwą miłością bliźniego, pędzi żywot swój cicho, skromnie, po chudopolsku ale bez narzekania z prawdziwem poddaniem się woli Opatrzności. Spokój jakim się cieszy, nie opuszcza go do ostatniéj chwili, nawet w ostatecznym upadku zmienności fortuny. W dzisiejszym zmateryalizowanym świecie, wszystko opierającym na rublu, obrazki podobne są na dobie: zepsutych, zgangrenowanych, unicestwionych we własnéj osobie, nie podniosą, ale stojących nad brzegiem przepaści, oświecą blaskiem prawdy, przenikną do głębi ducha i pokrzepiwszy go ostrzegą o niebezpieczeństwie. Niech więc praca tak piękne mająca przynosić owoce, rozchodzi się na wsze strony świata. Niewielka ona, w małéj zamknięta broszurce, ale jakże uspakaja gnębionych smutkiem i tęsknotą.

ODPOWIEDZI OD REDAKCYI.

Korespondentce z Sieradzkiego. Nie znając pracy nie można wyrokować o jéj wartości. Jeżeli nadesłaną zostanie do Redakcyi to prosimy o dokładny adres.

Panu Adolfowi K. w Ciszewce. Zarzut jakkolwiek słuszny ale co do nas staramy się o ile możności na niego nie zasługiwać. Żądaną przesyłkę spełnimy natychmiast jeżeli pismo w redakcyi zostało zaprenumerowane, w przeciwnym razie prosimy o adres dokładny.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 9Января 1879 г. Redaktor J. Gregorowicz Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

PRZYSIĘGA LADY ADELAJDY.

PRZEZ

mistres Henry Wood

przekład z Angielskiego

(Ciąg dalszy).

Zwrócił się prędko ku przystani; kiedy kilkadziesiąt głosów zawołało:

— To istne szaleństwo! panie Wilfridzie! Czy rozmyślnie szukasz śmierci? Morze w jednéj chwili pochłonie i łódź i ciebie.

— No! to pochłonie, odpowiedział. Patrzcie co się tam dzieje, dodał wskazując na okręt. Czy można się wahać widząc że tylu nieszczęśliwym grozi śmierć nieuchronna, że tylu ludzi walczy z nielitościwemi falami? Wy! marynarze, moglibyście nie pośpieszyć im na ratunek? Daléj za mną! Kto zasługuje na nazwę marynarza!

Jakże przykład jest zaraźliwym—jak prawdziwa odwaga podnosi ducha!—jakże to silnym bodźcem jest obawa śmieszności! Kilku ludzi zagrzanych słowami Wilfrida, oświadczyło gotowość wypłynięcia. Prawie wszyscy obecni zbliżyli się do przystani.

Wilfrid był zwinny i wiedział że nie ma czasu do stracenia, to też odwiązywał już łódź gdy inni nadbiegli. Jakiś głos odezwał się z tłumu: że choć łódź wypłynie, to pan Wilfrid nie powinien należyć do wyprawy, ponieważ nie jest marynarzem.

— Kto to powiedział? zapytał Wilfrid blady, lecz spokojny.

— Ja, odezwał się stary Bill Gand.

— Co ty dziś bredzisz, Billu Gand? Co ci się stało? Jakto! miałbym namawiać innych aby się wystawiali na niebezpieczeństwo, na które sam nie śmiałbym się narazić?

— Panie Wilfridzie, nie dopłyniesz żywy do okrętu, zawołał Bil, a tém pewniéj nie powrócisz na ląd. Tak i ty i łódź i nikt nie wróci.

— Bardzo być może, jednak ja nie tracę nadziei. Sprawa nasza jest dobrą; Bóg nam dopomoże.

Te ostatnie słowa sprawiły żywe wrażenie; wiemy jak silną, bezwzględną prawie naiwną jest ufność marynarzy w miłosierdzie Boże. Każdy chciał pierwszy wsiąść do łodzi.

„Mogę słusznie tę wyprawę uważać za swoją, odezwał się Wilfrid, bo bezemnie niktby się na nią nie odważył, niechże mi więc wolno będzie wybrać osadę Billu Gand, czy chcesz lub nie należyć do niéj?

— Tak, odpowiedział stary majtek, choćby dla tego aby czuwać nad tobą, panie Wilfridzie. Żona moja już śpi na cmentarzu a dwaj synowie na dnie morza, nie osierocę nikogo.

Inni zostali w krótce wybrani i wskoczyli do łodzi. Wilfrid miał połączyć się z nimi, gdy wtém ktoś przysunął się śpiesznie i stanął przed nim.

— A gdybym ja żądał abyś odstąpił od swego przedsięwzięcia, Wilfridzie?

Był to pan Lester. Wilfrid wahał się chwilę, potém odpowiedział:

— Żadne względy na świecie nie zdołają mnie powstrzymać. Jednak dziękuję, dziękuję z całego serca, za tę oznakę życzliwości. Ojcze, może widzimy się po raz ostatni.... czy nie podasz mi ręki? Jeżeli umrę nie żałuj mnie; bo wyznaję szczerze że życie moje już stało mi się ciężarem.

Pan Lester, silniéj wzruszony niż się tego można było spodziewać, uścisnął w milczeniu podaną sobie rękę. Wilfrid wskoczył do łodzi i puszczono się na niebezpieczną wyprawę.

Jakiż to widok! Tam tonący okręt z nieszczęśliwymi skazanymi na śmierć nieochybną. Tu łódź walcząca z przeciwnym wiatrem, to wznosząca się aż na wierzchołek bałwanów, to niknąca pod nimi, a pomimo to wytrwale, z rozpaczliwém męztwem, dążąca do swego celu! Tu znów tłum niespokojny, milczący, śledzi przerażonym wzrokiem ruchy łodzi i nieszczęśliwych walczących ostatkiem sił z rozhukaną falą i mierzy odległość oddzielającą ich jeszcze od mężnych wybawców!

Całą tę scenę oświecało blade światło księżyca, zakrytego do połowy szybko przez wicher gnanemi chmurami. Słychać było jeszcze ciągle cichy głos okrętowego dzwonka, a od czasu do czasu przeszywał jeszcze powietrze silny dźwięk zamkowego dzwonu.

Czy usiłowania ich nie będą daremne? Bill Gand, najstarszy ze wszystkich, oświadczył późniéj że nigdy w życiu nie walczył jeszcze z tak straszną burzą i z tak rozszalałém morzem.

Bill nie mógł do śmierci rozwiązać téj zagadki; jakim sposobem mogli nawet walczyć. Ponieważ pomimo nadludzkich prawie usiłowań, wicher odpychał często łódź po za przestrzeń z takim trudem zdobytą, zdawało im się co chwila że morze ich pochłonie. Wszyscy, nawet Wilfrid byli pewni że nadeszła już dla nich ostatnia godzina. Jakżeby mogli być ocaleni? Trzebaby na to prawdziwego cudu! Kiedy późniéj wszyscy ci zacni ludzie starali się wytłomaczyć sobie swoje powodzenie, powtarzali słowa wyrzeczone przez Wilfrida.

— Sprawa nasza jest dobra, Bóg nam dopomoże.

Nie zdołali jednak dopłynąć do okrętu.

Nieszczęśliwi których woda uniosła z pokładu, a walczący jeszcze z falami, spostrzegłszy łódź czynili rozpaczliwe usiłowania aby zbliżyć się do niéj.

Uratowano tych których można było dosięgnąć, w małéj jednak, niestety! liczbie, gdyż trudności przy ratowaniu były prawie nieprzezwyciężone, i nie można było przeładowywać łodzi, w istocie zbyt małéj jak na łódź ratunkową. Mieszkańcy Daneshelda już oddawna użalali się na to, ale był to głos wołającego na puszczy, nie dostali dotąd lepszéj i większéj.

Wilfrid był więc zmuszony dać znak odwrotu, odpływając rzucił kilka słów nadziei tonącym, przyrzekając że do nich wróci, ale prawdopodobnie wicher nie dozwolił im słów tych dosłyszeć.

Powrót był nie tak męczący, bo mieli wiatr za sobą, ale nie mniéj niebezpieczny. Niektórzy z wiosłujących choć silni i wytrwali czuli że ich siły opuszczają, zdawało im się że nie wytrwają do końca. Wilfrid zachęcał ich ciągle, podbudzał odwagę, podniecał prawie siły fizyczne. Gdyby nie on, byliby wrócili do brzegu po kilku uderzeniach wiosłem.

„Daléjże dzieci! wołał, trochę więcéj energii! Ja i Bill Gand jesteśmy jeszcze dość silni aby wypłynąć powtórnie; pozostawimy was na lądzie a inni was zastąpią; wypoczniecie sobie dobrze, a po tém który zechce będzie mógł puścić się z nami za trzecim razem. Ileż to razy trzeba będzie wracać aby uratować wszystkich!

Jeden z uratowanych uniósł trochę głowę aby mu odpowiedzieć. On jeden miał jeszcze dość tyle siły że mógł przemówić, inni leżeli w łodzi poranieni lub niezdolni poruszyć się nawet. Był to młody, wysoki i silnie zbudowany majtek, który jak się zdawało nie wiele ucierpiał w téj walce z falami.

„Trzebaby, rzekł, powrócić kilka razy, ale kto wie czy i trzecia wyprawa będzie jeszcze przydatną. Statek rozłupie się na dwoje.

— Rozłupie się na dwoje!

— Tak utrzymuje kapitan, i zdaje mi się że ma słuszność. Spód okrętu w samym środku uderzył o skałę; słyszeliśmy jak się rozpękł trzeszcząc przeraźliwie.

— Zkąd wypłynął?

— Z Nowego Yorku. Statek pasażerski. Cała podróż dotąd odbyła się w jak najlepszych warunkach... a jakiż okropny koniec!.. Śliczny statek, zupełnie nowy... Tysiąc sto tonnów... Nazywa się *Wiatr*. Nielubiłem zawsze téj nazwy.

— Czy dużo było pasażerów.

— Koło pięćdziesięciu. Sześciu pierwszéj, resztę drugiéj klasy.

Wszystko to mówił z przerwami, w miarę jak na to pozwalało wycie burzy i miotanie się łodzi. Na tém skończyła się rozmowa, bo każdy musiał wytężać uwagę i siły, aby mogli szczęśliwie przybić do lądu.

Wpłynęli nakoniec do przystani; powitano ich okrzykami radości, i może obsypanoby oklaskami gdyby nie ta myśl że tylu jeszcze nieszczęśliwych walczy z nieochybną śmiercią.

Może Wilfrid wyskakując na ląd blady ze znużenia i przemokły, spodziewał się że ojciec powita go znów uściśnięciem ręki i życzliwém słowem. W takim razie nadzieja jego była zwodniczą. Pan Lester był tam jeszcze, ale nie przybliżył się wcale, jakby nie wiedział o obecności syna.

Tuż przy nim stała żona. Lady Adelajda wiedziona ciekawością, chciała, nie zważając na burzę, być świadkiem téj okropnéj sceny. Czy to obawa aby nie ściągnąć na siebie jéj niezadowolnienia nie dozwoliła panu Lester zbliżyć się do Wilfrida? czyteż że może żałował już że dał mu przed chwilą oznakę życzliwości? Wilfrid spostrzegł macochę, ale był zbyt zajęty aby mógł zwracać na nię uwagę.

Trzeba było teraz przenieść uratowanych na ląd. Wilfrid zajmował się nimi z jakąś zazdrośną troskliwością, zdawało się że ich uważa poniekąd za swoją własność. Nagle zwrócił się do tłumu i zapytał rozkazującym tonem:

„Czy też kto przygotował łóżka i pamiętał rozniecić ogień na kominie? w przeciwnym razie nie warto było wyciągać tych nieszczęśliwych z morza.

Ryszard Ravensbird odezwał się pierwszy.

— Ja mogę przyjąć dwóch lub nawet trzech, rzekł przedzierając się przez tłum; żona moja pozostała w domu i przyrządza wszystko co może być potrzebne. Nie mogłem przyłożyć się do uratowania ich, to przynajmniej dam im schronienie. Powóz już czeka, a wkrótce Jessop nadjedzie z omnibusem.

Lord Dane oświadczył się także z gotowością przyjęcia rozbitków do pałacu. Ale do pałacu było zbyt daleko aby tam można było przewieźć na pół utopionych, nie narażając ich życia.

Jeden z nich, leżący jeszcze na dnie łodzi, uniósł z trudnością głowę. Był to jak się zdawało starzec; długie włosy, mokre i przylepione do jego twarzy, błyszczały przy świetle księżyca jak srebrne nitki. Nie miał na sobie nic prócz bielizny.

— Na jakie brzegi rzuciła nas burza? Gdzie jesteśmy?

— W Danesheld.

— Ah! moja głowa, zawołał po chwili skarżącym się głosem. Drżę z zimna; dajcie mi się czém okryć.

Jeden z obecnych zdjął z siebie płaszcz i przykryto nim biedaka, który drżącą ręką nasunął go na głowę i okrył twarz aby ją zabezpieczyć od wiatru. Drugi z uratowanych, człowiek młody i zupełnie ubrany, jak gdyby fale porwały go zanim zdołał zrzucić suknie krępujące jego ruchy, lepiéj jeszcze otulił starca; nad którym zdawał się czuwać troskliwie, choć trudno było poznać czy był jego przyjacielem, domownikiem, lub tylko znajomym z czasu podróży. Obydwaj byli pasażerami pierwszéj klasy.

— Pragnąłbym bardzo aby mógł być przewieziony do jakiéj porządnéj oberży, jeżeli tylko można ją tu znaleźć blizko, odezwał się młody pasażer.

— Moja jest ztąd o kilkadziesiąt kroków, odezwał się Ravensbird; będziemy się starać aby miał wszelkie wygody.

Powóz podjechał o ile można było najbliżéj, i przeniesiono do niego starca. W chwili kiedy młody nieznajomy miał usiąść obok niego, uchwycił z żywością rękę Wilfrida Lester.

— Po Bogu, panu zawdzięczamy nasze ocalenie. Mam nadzieję że późniéj będę miał sposobność wymowniéj za to podziękować panu.

Z głosu jego można było poznać jakie zajmował stanowisko w świecie. Nie podobno było wątpić że jest gentelmanem: zapewniał o tém nader miły dźwięk głosu i bardzo czysta wymowa. Trzeci jeszcze z rozbitków został umieszczonym w powozie, był to majtek z silnie poranioną głową, i ruszono do Gospody Marynarzy, gdzie Ravensbird pobiegł naprzód aby wszystko było gotowe.

Wilfrid Lester zajął się teraz zbieraniem ludzi do drugiéj wyprawy, do któréj stary Bill Gand chciał także należyć.

„Ciebie nie wezmę Dicku! rzekł Wilfrid odsuwając ręką jednego z rybaków. Nie, tobie nie pozwolę wsiąść do łodzi.

— A to czemu? zapytał rybak, jestem przecie zdrów i silny. Nigdy jeszcze nie czułem się tak rzeźkim jak po ostatniéj chorobie.

Tak, był silnym, ale Wilfrid wiedział o tém że Dick ma żonę i siedmioro dzieci.

„Powiedziałem już że nie pozwolę ci wsiąść; odsuń się Dicku, nie mamy czasu do stracenia.

Zaledwie Wilfrid wymówił te słowa, rozległ się w powietrzu krzyk straszny, przeciągły, krzyk który zdawał się wychodzić jednocześnie z kilkudziesięciu piersi ludzkich.

„Co to jest? Co się stało? wołano w tłumie.

Wszyscy zwrócili oczy na statek.

Rozpadł się na dwoje i zapadał w wodę.

„Śpieszcie im na pomoc! śpieszcie im na pomoc! wołano.

Łódź wypłynęła wśród oklasków tłumu, lecz tym razem, niestety zaledwie zdołano uratować tylko paru tonących. Kiedy już dopływano do celu, ogromny bałwan tak gwałtownie odrzucił wstecz łódkę, że cała jéj osada była przekonaną iż leci na dno morza; i w istocie można to było uważać za cud prawdziwy iż ocalała. Kiedy po rozpaczliwych usiłowaniach posunęli się naprzód, nie było już kogo ratować... morze pochłonęło swoje ofiary.

Jakiż mógł być powód tego nagłego spokoju jaki o ile się zdawało, zapanował w ostatnich chwilach na okręcie? Czemu po krzykach przerażenia i rozpaczy nastąpiła ta nagła cisza? Nie byłoż to zadziwiającém?

Z pewnością wielu z tych nieszczęśliwych czuli teraz że nie dobrze dni swoje przeżyli, niektórzy poczuwali się nawet do bardzo ciężkich przewinień, a mało było przygotowanych stanąć przed sądem Boga.

Zkądże więc to nagłe ukojenie i poddanie się woli Opatrzności?

Sługa Boży znadował się między pasażerami.

Kiedy już znikła wszelka nadzieja, kiedy już było widoczném że nie ma sposobu ocalenia statku, on spełniając swoje zadanie, zgromadził wszystkich koło siebie.

Mówił im o nieograniczoném miłosierdziu Bożém. Mówił że teraz każdą chwilę życia Bóg daje im po to aby mieli czas żałować za swe błędy i przewinienia. Przypomniał im przebaczenie udzielone dobremu łotrowi na krzyżu. Przypomniał z jaką dobrocią Chrystus przyjmował na téj ziemi wszystkich garnących się do niego, nie pytając czemu do ich duszy skrucha nie zawitała wcześniéj, przytulając do siebie nawet najwystępniejszych, najcięższemi obarczonych grzechami.

„O! wyciągnijcie do Niego ramiona, z pełną prostoty, dziecięcą ufnością i wiarą, a usłyszy was zanim jeszcze zawołacie, odpowie zanim zdołacie przemówić. To wasz Odkupiciel, wasz Zbawiciel, Jezus! Śpieszcie wszyscy do Niego! On wam daje sposobność abyście do Niego wrócili zaczém jeszcze przejdziecie progi wieczności! Wysłucha wasze modlitwy, pocieszy, i będziecie żyć z Nim razem na wieki w niebie."

Kiedy słuchali tych słów wypowiedzianych z pełną spokoju ufnością, jakieś dziwne uczucie ukojenia i bezpieczeństwa przenikało ich serca. Zdawało im się że Bóg sam przemawia do nich przez usta swego sługi, i że za chwilę wejdą do przybytku wiekuistéj szczęśliwości.

Koniec tomu pierwszego.

PRZYSIĘGA LADY ADELAJDY.

PRZEZ

mistres Henry Wood

przekład z Angielskiego.

TOM II.

Rozdział I.

W Gospodzie Marynarzy.

Pani Ravensbird miała téj nocy wiele zajęcia, ale że posiadała właściwe Francuzkom przymioty, potrafiła wywiązać się dobrze z tak trudnego zadania; w momencie przygotowała łóżka, kołdry flanelowe, gorące napoje, słowem wszystko co było potrzebném dla rozbitków.

Do *Gospody Marynarzy* przewieziono tylko trzy osoby o których wspomnieliśmy już wyżéj, inni— w małéj liczbie, niestety!—zostali umieszczeni w urzędzie celnym, lub w pobliższych domach. Łódź jak wiemy nie dopłynęła już powtórnie do rozbitego statku.

Starszemu pasażerowi oddano pokój na pierszém piętrze, najpiękniejszy w Gospodzie. Kiedy go tam przenoszono, pani Ravensbird dostrzegła—bo jak wiemy pani Ravensbird miała wzrok bardzo bystry, że był to starzec wysokiego wzrostu z bladą twarzą i siwemi już włosami, otulony płaszczem (pożyczonym mu przez Michała nadbrzeżnego strażnika). Rysów jego rozróżnić nie mogła, gdyż mokre włosy i podniesiony kołnierz od płaszcza prawie całkiem twarz mu zasłaniały. Odzyskał już o tyle siły że nie potrzebował niczyjéj pomocy, i zaledwie wprowadzono go do pokoju, prosił wszystkich aby się oddalili i zamknął drzwi na klucz.

Dopiero osuszywszy się dobrze przy kominku położył się w łóżko: zadzwonił i kazał sobie przynieść kieliszek wódki i filiżankę gorącego klejku.

„Panie, rzekła służąca wchodząc z tacą, ten młody pan którego także uratowano, pyta się czy może wejść, lub być panu w czém użytecznym?

— Nie. Najlepiéj zrobi jeżeli się położy natychmiast. Będzie mi bardzo miło widzieć go, ale jutro rano. Teraz proszę aby mi nikt nie przeszkadzał; jeżeli będę czegoś potrzebował to zadzwonię.

Pani Ravensbird, jak zresztą większa część mieszkańców Danesheldu, czuwała przez tę całą noc, pomimo że burza któréj się tak obawiała, zaczęła się uciszać. Opatrzyła poranioną głowę uratowanego majtka, i wysuszyła ubranie młodego pasażera, całkiem ubranego w chwili rozbicia statku.

Z pasażerów tych dwóch tylko zdołano uratować, wszyscy zresztą inni i oficerowie utonęli. Ci których ocalono także, byli prostymi majtkami.

Pani Ravensbird opatrując głowę majtkowi; starała się zasięgnąć od niego wiadomości o swych lokatorach z pierwszego piętra, ale nie mógł zaspokoić jéj ciekawości. Nie wiedział nawet ich nazwiska, i tyle tylko mógł powiedzieć że byli pasażerami pierwszéj klasy.

— Czy to są gentlemeni? zapytała znów Zofia— która, jak widać, w czasie pobytu w pałacu Dane, nauczyła się zwracać uwagę na różnicę stanów, albo też kupcy lub coś podobnego?

— Nie wiem: może kupcy, bo tych uwija się bardzo wielu między Ameryką i Anglią.

— Dziwna rzecz że uratowano tylko taką garstkę ludzi, a wszyscy zresztą utonęli. Można powiedzieć że te kilka osób cudem zostało ocalone.

— Nie bardzo ja wierzę w cuda; trzeba to prędzéj przypisać temu że zdołaliśmy dopłynąć do łodzi. Mieliśmy także na statku łódź ratunkową; niektórzy z nas zdołali ją odczepić i wsiąść do niéj. Wprawdzie w kilka minut morze ją pochłonęło, a z nią razem wiele osób, ale zawsze nas to zbliżyło trochę do łodzi dążącéj na ratunek, i ci którzy byli silniejsi i umieli lepiéj pływać, mogli dostać się do niéj.

— Jakże to wszyscy musieli przepychać się z sobą aby się dostać do téj łodzi ratunkowéj!

— Gdzie tam! nikt prawie wsiąść tam nie chciał, każdy sądził się bezpieczniejszym na statku. Kapitan zapewniał że łódź nie zdoła się utrzymać na tak burzliwém morzu i pokazało się wkrótce że miał słuszność... Niech pani będzie łaskawa tam tylko obcinać mi włosy, gdzie to koniecznie potrzebne.

Nazajutrz, o siódméj rano, młody podróżny zadzwonił aby mu przyniesion orzeczy. Odebrał je wkrót ce już zupełnie suche, z dodatkiem najpiękniejszéj bielizny pana Ravensbird'a.

O ósméj rano, Zofia stojąc sama za kantorem, gniewała się i narzekała w rodzinnym języku jak to zwykle czyniła w takim razie) na głupotę i niedbalstwo jednéj ze swych służących, kiedy nagle ktoś przemówił do niéj po francuzku z najczystszym akcentem. Odwróciła się zdumiona i spostrzegła młodego podróżnego, którego poznała tylko po ubraniu, bo poprzedniego dnia wieczorem nie miała sposobności przypatrzyć mu się dobrze. Wydał jéj się bardzo sympatycznym. Był to śliczny młodzieniec mogący mieć dwadzieścia cztery lat najwyżéj, z kruczemi włosami, piękna twarz jego miała w sobie coś dziwnie pociągającego.

„Pan jest Francuzem? zapytała Zofia z grzecznym ukłonem.

— A pani Francuzką, jak wnoszę z tego co słyszałem, rzekł z uśmiechem; co więcéj domyślam się jeszcze że w złym humorze.

— A nie dziwiłoby to pana wcale, gdybyś choć jeden dzień miał do czynienia z memi służącemi! Ta nieznośna panna kantorowa, naprzykład, zawsze myśli o swéj ładnéj buzi lub strojach, a nigdy o robocie!

— Czy pani zajmuje się niekiedy igiełką? zapytał młody nieznajomy po angielsku, wyrażając się równie czysto i poprawnie jak przedtém po francuzku.

Zofia coraz więcéj zachwycona jego uprzejmém, pańskiém obejściem i sympatycznym głosem, zapewniła że nikt w świecie nie zdołałby przewyższyć ją we wszelkich podobnych zajęciach. Całe siedem lat przebyła w klasztorze we Francyi. „Może pan spuścić się na siostry, dodała, ukształcenie jakie dają swym wychowankom, nic pod tym względem nie pozostawia do życzenia. Może trzeba przyszyć guzik?

— O! gdyby szło tylko o to, odpowiedział z uśmiechem, nie trudziłbym pani; bo sam potrafiłbym go przyszyć, byleby mi pani pożyczyła igły i nitki. Miałem je z sobą dodał, ale poszły na dno morza wraz ze wszystkiemi pakunkami.

Więc pan nie zdołał nic uratować?

— Zic zgoła, z wyjątkiem pugilaresu i niektórych papierów które przypadkiem znajdowały się przy mnie... To o co zamierzam pani prosić wymaga większéj wprawy niż przyszycie guzika; potrzeba mi umbrelki na oczy.

— Jakto! zawołała zdziwiona Zofia, mając tak wielkie i piękne oczy; potrzebujesz pan umbrelki?

— Tak, ale dla mego towarzysza podróży. Idę właśnie od niego; domaga się koniecznie umbrelki. Przez cały ciąg podróży cierpiał na oczy, a światło bardzo mu szkodzi. Prosi aby umbrelka była bardzo duża, z cienkiéj tekturki pokrytéj zieloną lub niebieską materyą, i z dwóch stron sznureczki do wiązania.

— Sznureczki! zawołała Zofia. Zapewne pan chciał powiedzieć wstążki.

— Cokolwiekbądź! Byle tylko blask nie raził go w oczy, nie będzie zważał na nic zresztą. Pytałem się czy mu nie przysłać czegoś na śniadanie, ale odpowiedział że obecnie pragnie tylko ciemności.

Zofia przyniosła wkrótce wszystkie potrzebne materyały, znalazła szczęściem w jakimś kącie arkusz tekturki i kawałek materyi, pozostałość z jakiéjś sukni. Młody nieznajomy usiadł naprzeciwko niéj, na kanapie pokrytéj włosienicą, i przyglądał się jéj robocie. Przykazano mu, jak się wyraził żartem, aby nie ważył się pokazać bez umbrelki.

— Któż to jest? zapytała Zofia; wczoraj wieczorem nie widziałam go dobrze, ale zdawało mi się że w bardzo już podeszłym wieku. Czy to ktoś z dobrych pana znajomych?

— Poznaliśmy się dopiero w ciągu podróży." Dziwna rzecz jak łatwo zawierają się znajomości n pokładzie statku.

— Czy jest kupcem?

— Nie sądzę.

— Po co przyjechał do Anglii?

Nieznajomy roześmiał się głośno.

— Musisz go pani zapytać o to sama, jeżeli chcesz wiedzieć koniecznie. Ja nie byłem tak ciekawy i nie pytałem o powody jego podróży.

— Zapewne jest Amerykaninem, mówiła daléj nie zmieszana jego odpowiedzią Zofia. Jakże się nazywa?

— Na to pytanie mogę odpowiedzieć. Nazywa się Home.

— Pan Home, powtórzyła Zofia, przyglądając się z zadowolnieniem umbrelce, przybierającéj dość zręczne kształty. Spodziewam się że będę miała przyjemność poznać także nazwisko pana. Jestem pewna że musi być piękne i mile brzmiące.

— Doprawdy? rzekł z uśmiechem nazywam się Lydney.

— Lydney?... ale to nie francuzkie nazwisko.

— Ojciec mój nie był Francuzem. Matka przeniosła się do Ameryki, i tam poszła za mąż.

— A! teraz już rozumiem jakim sposobem mówisz pan równie dobrze temi dwoma językami. Ale w takim razie jesteś pan Amerykaninem a nie Francuzem. Jakaż to szkoda!

— Cóż robić! odpowiedział wesoło.

— Czy powodem podróży pana do Europy są jakieś interesa.

— Jeżeli mam powiedzieć prawdę, to jedynym celem mojéj podróży, była chęć rozrywki, poznania starego lądu, a zwłaszcza Anglii. Czy dużo jeszcze masz pani zadać mi pytań? dodał wesoło.

— Co pan chce, to moja francuzka natura wychodzi zawsze na wierzch. Trzeba mi to wybaczyć.

— W takim razie ja także zadam pani jedno pytanie. Czy jest jaki krawiec w... jakże się to miejsce nazywa? Danesheld, podobno. Spojrzyj tylko pani na mnie.

Mówiąc to wysunął rękę i nogę. Ubranie jego przesiąkłe wczoraj wodą morską skurczyło się bardzo i zupełnie straciło formę. Zofia nie mogła powstrzymać się od śmiechu.

— Owszem, mamy tu doskonałego krawca, który pracował w jednym z najpierwszych zakładów w Londynie. Ale że chorował często—bo jak mówią, powietrze ma tam być bardzo niezdrowe, przeniósł się do Danesheld, gdzie mieszkają krewni jego żony. Ma sklep naprzeciwko pana Wild, doktora. Wykonane w jego zakładzie ubrania odznaczają się dobrym krojem. Nawet lord Dane kupuje czasem u niego. Pan nie zna lorda Dane?

— Nie, domyślam się tylko że musi być jakaś znakomitość w tych stronach.

— Najpierwsza i to na dwadzieścia mil w koło. Jest to największy pan w całéj okolicy, tak pod względem urodzenia jak i bogactwa; mieszka w pałacu Dane. Był wczoraj nad morzem kiedy łódź wiozącą pana i kilku jeszcze innych przybiła do brzegu.. A! mój Boże, jakiż to straszny był wypadek.

To wspomnienie wywołało na twarz pana Lydney wyraz szczeréj boleści.

— Ta okropna scena stała mi dziś w nocy ciągle przed oczami i nie dozwalała zasnąć, a jeżeli na chwilę zamrużyłme powieki, powtarzała się w gorączkowych marzeniach. Jestem przekonany że ten straszny obraz długo jeszcze prześladować mnie będzie.

— Musisz pan to jednak uważać za wielkie dla siebie szczęście że zostałeś ocalonym, kiedy tak wielu innych zginęło.

— Tak, odpowiedział spokojnie. Kiedy spuszczano szalupę na morze, gentleman, który tam stoi na pierwszém piętrze, rzekł biorąc mnie za rękę: ,,Chodźmy, może to jedyny środek ratunku jaki nam jeszcze pozostaje. Poszedłem za nim, pomimo że byłem najsilniéj przekonanym że tak na statku jak w szalupie czeka nas śmierć niechybna.

— Ale cóż się stało z jego ubraniem?

— Leżał już w łóżku w chwili gdy okręt uderzył o skałę, wybiegł więc na pokład tylko w płaszczu któren następuie fale uniosły.

— Wczoraj wieczorem zdawał mi się bardzo cierpiącym.

— Tak, był bardzo słabym przez cały czas podróży... Jakieś wewnętrzne i zadawnione cierpienia o ile mi się zdaje... A! dziękuję pani!

Pani Ravensbird podała mu ukończoną umbrelkę. Podziękował jéj za uprzejmość podziwiając zarazem jéj zręczność i pośpiech.

— Mogłaby być daleko zgrabniejszą gdyby mi pan pozostawił trochę więcéj czasu. Kiedy pan każe podać sobie śniadanie?

— Nie długo; muszę pierwéj dowiedzieć się czy nasz chory nie potrzebuje czego. On znacznie starszy odemnie.

Pan Lydney pobiegł na pierwsze piętro z umbrelką, a pani Ravensbird patrzyła za odchodzącym zapytując się w myśli kogo on jéj przypomina. Była przekonaną że znała kogo, do którego pan Lydney był uderzająco podobny; ale gdzie i do kogo? Może we Francyi?... Tak... bezwątpienia. Musiała tam widywać jego matkę przed jéj wyjazdem do Ameryki. ,,Zaraz od pierwszego rzutu oka przypadł mi do serca, pomyślała; jakiż to piękny i miły młodzieniec!.... Prawie współziomek!

Przed południem lord Dane wszedł do *Gospody Marynarzy* aby zapytać się o zdrowie rozbitków. Ravensbird wyszedł właśnie, a więc Zofia wybiegła na spotkanie jego wielmożności. Przypominała sobie zawsze dawne czasy, kiedy biedny i nie posiadający jeszcze żadnego znaczenia Herbert Dane, lubił rozmawiać z Zofią Collot, i była z nim daleko śmielszą niżby to pozwolił któremukolwiek z mieszkańców Danesheldu. Powtórzyła mu wszystko co wiedziała o swych nowych lokatorach, zaokrąglając opowiadanio swemi dodatkami. gdyż poczciwa pani Ravensbird należała do rzędu osób z których ust każde opowiadanie wychodzi w edycyi znacznie powiększonéj, a które przecież są najsilniéj przekonane, że powiedziały tylko najściślejszą prawdę.

,,Płynęli z Ameryki, rzekła; starszy z nich, pan Home, przybył do Europy w celu ratowania zorowia... choruje na oczy. Młody zaś, pan Lydny, podróżuje dla przyjemności. Poznali się dopiero na pokładzie i zaprzyjaźnili z sobą w ciągu podróży. Prócz tego pan Lydney czuje teraz najżywszą wdzięczność dla uratowanego razem z nim starca. gdyż za jego namową wskoczył do spuszczonéj z okrętu szalupy i to przyczyniło się do jego ocalenia Otacza pana Home najczulszemi staraniami.

— Obydwaj są zapewne Amerykanami? powiedział lord Dane.

— Pan Home, z pewnością... co do pana Lydney, ten jest na pół Amerykaninem a na pół Francuzem. Jaka to szkoda! zrobiło mi to prawdziwą przykrość kiedy dowiedziałam się że nie jest czystéj krwi Francuzem. Nigdzie, wyjąwszy w Paryżu, nie słyszałam tak pięknego akcentu. Nie podobno byłoby znaléźć milszego i uprzejmiejszego młodzieńca. Jaka grzeczność, jakie zachowanie!... Niech milord przedstawi sobie siebie samego ... przed laty.

— Czy są gentlemanami? zapytał lord Dane.

— Z pewnością; młodszy przynajmniéj jest niezawodnie gentlemanem, i to aż do szpiku kości. Pomimo ubrania, które skurczyło się po wysuszeniu, wygląda na... na to czém sam jesteś milordzie, na potomka znakomitéj angielskiéj rodziny. Ani wątpić, to wielki pan w całém znaczeniu tego wyrazu... Ale dziwna rzecz, rysy jego przypominają mi rysy jakiéjś pani, którą musiałam znać jeszcze we Francyi, ale napróżno sobie łamię głowę od samego rana, nazwisko jéj nie przychodzi mi na myśl. Kto wie czy nie znałam jego matki.

— Czy już wstał? zapytał lord Dane, z uśmiechem wywołanym gadulstwem Zofii.

— Czy wstał! o! już dawno, przed siódmą jeszcze. Po śniadaniu poszedł oddać list na pocztę, potém miał być u krawca, a założyłabym się że obecnie jest nad brzegiem morza, aby się przekonać czy nie wyrzuciło co z jego rzeczy. Idzie mu nadewszystko o jakąś szkatułkę, do któréj zdaje się przywiązywać bardzo wielką cenę. Czy można mieć nadzieję milordzie, że ją odzyska?

— Może coś odzyskać, trudno jednak rachować na to.

— Starszy jeszcze nie wstał, mówiła dalej Zofia; sama zaniosłam mu śniadanie i zapytałam o zdrowie; mruknął coś czego nawet zrozumiéć nie mogłam. i nie widziałam nic prócz siwych włosów i umbrelki którą mu zrobiłam, bo ciągle leżał odwrócony twarzą do ściany i otulony kołdrą aż po uszy. Powiedział mi tylko abym postawiła tacę na stoliku przy łóżku, i że on sam naleje sobie herbatę.

— Biedny człowiek! widać jest jeszcze bardzo osłabiony. Proszę powiedzieć mu pani Ravensbird, że lord Dane gotów jest uczynić dla niego wszystko co będzie w jego możności, a jeżeli życzy sobie abym go odwiedził, udam się do niego zaraz.

Pani Ravensbird pośpieszyła natychmiast do chorego, ale wróciła wkrótce z wyrazem niezadowolnienia na twarzy.

Założyłabym się że to jakiś stary kawaler i do tego odludek. Możnaby sądzić że boi się ludzi. Nie życzy sobie widzieć sie z milordem, i powiedział to prawie niegrzecznie. , Proszę podziękować odemnie lordowi Dane, a zarazem oświadczyć mu że jestem osobistością nie posiadającą żadnego znaczenia; nie żądam nic prócz spokojności, a jak obecnie nie jestem wcale usposobionym do zawierania nowych znajomości. Sam złożę mu moje uszanowanie jak tylko będę zdrowszym." Doprawdy, ci Amerykanie nie mają pojęcia o najprostszych nawet przepisach grzeczności.

(d. c. n.)

Opis do N-ru 4.

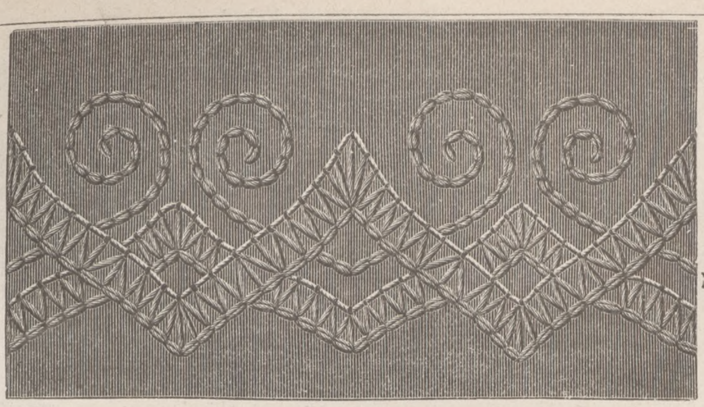
(ciąg dalszy).

N. 18 i ryc. 32 w N. 3. **Kapelusz** z popielatego filcu.



N. 1. Boa z puszku łabędziego dla małej dziewczynki.

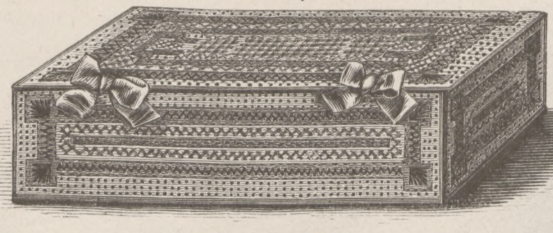
Fasonik ten słusznie może być nazwany en-tout cas, gdyż odpowiednio do przybrania i włożenia może być mniej lub więcej strojnym i stosownym dla osoby starszej lub młodziutkiej. Na ryc. 18 widzimy taki kapelusz odpowiedni dla młodej osoby; rondko nad czołem jest przecięte i otwarte w ząb, podszyte ciemnym aksamitem a z brzegu sznurem jedwabnym; ciemno



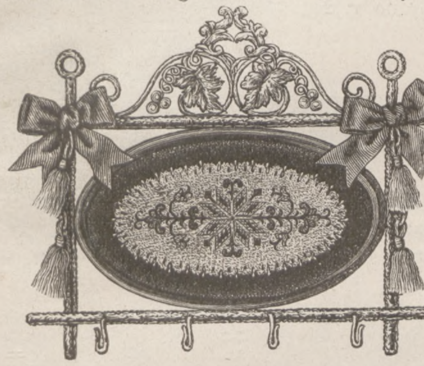
N. 14. Szlak do koszyczka ryc. 3.



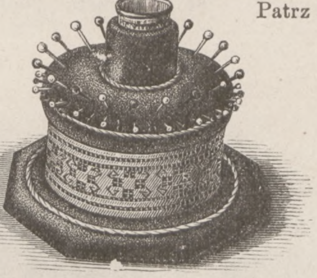
N. 2. Boa robione szydełkiem dla małej dziewczynki.



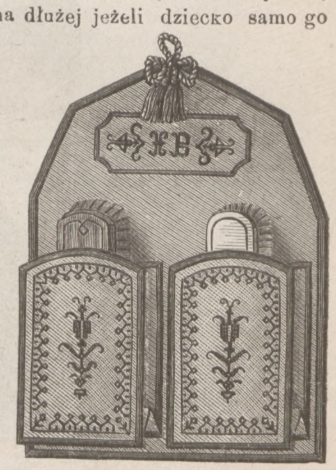
N. 4. Kasetka na rękawiczki. Wyszycie na kanwie papierowej. Patrz ryc. 15.



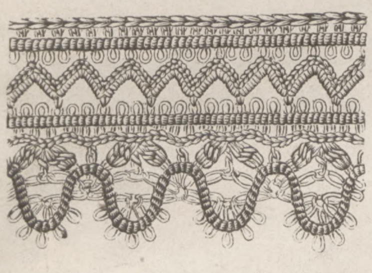
N. 5. Wieszadło do kluczyków.



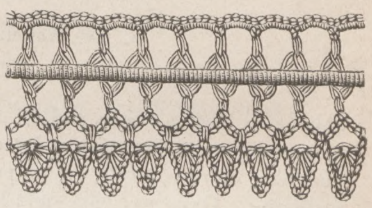
N. 6. Poduszka do szpilek i naparstka.



N. 7. Torebka na szczotki.



N. 8. Ząbki szydełkowe z mignardisą.



N. 9. Ząbki szydełkowe z mignardisą.

bronzowy aksamit, takież pióro strusie i dwie róże herbaciane stanowią przybranie. Rycina 32 w N. 4 załącza tenże fason z rondem spuszczonem, nieprzeciętem nad czołem, oszytem z brzegów grubym sznurem, związanym z tyłu i zakończonym kwaścikami. Główka opasana aksamitem; dwa piórka strusie przypięte z boku, zwrócone ku przodowi; do wiązania służą końce tiulowe; w ten sposób przybrany kapelusz służyć może dla osoby starszej.

N. 19. Kapelusz okrągły aksamitny.

Szerokie płaskie rondo kapelusza, mocno odstające z tyłu, podgarnirowane jest od spodu riuszą z piór wysuniętą brzegiem. Główka przykryta jest wielką kokardą upiętą ze skosu czarnego atłasu ułożonego w fałdy; z pod kokardy wysuwają się na dwie strony dwa krótkie czarne pióra. Takież dwa piórka podpięte są z tyłu w podniesieniu rondka.

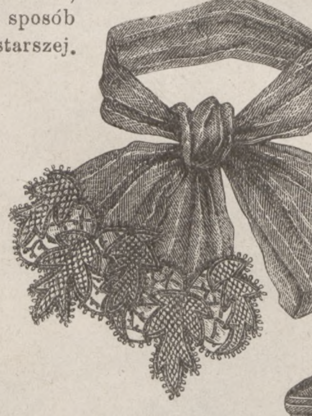
N. 22—24. Zamek z kart. Desenie do wycięcia podane na arkuszu z krojami do N. 1 i 2 Tygod. Fig. 64—67.

Zamek z kart przedstawiony na ryc. 22 może być zrobiony przez osobę starszą i ofiarowany dziecku jako zabawka, ale daleko będzie korzystniej i zabawa starczy na dłużej jeżeli dziecko samo go sobie będzie budować, mając odrysowane na Fig. 64 — 67 części ozdobniejsze trudniejsze do wykrojenia.

Dwie przykrywki od pudełek po $2\frac{1}{2}$ cent. wysokie z których spodnia liczy 27 cent. długości a 21 szerokości, zwierzchnia zaś jest na około mniejsza o $2\frac{1}{2}$ cent., przytwierdzają się jedna na drugiej oklejają białym papierem i stanowią fundament do wzniesienia zamku. Stawiając parter, pierwsze i drugie piętro z wieżami i dachem płaskim trzeba dawać między niemi płaską podłogę, składającą się z pojedynczych kwadracików, których układ wskazuje ryc. 24. Na każdy kwadracik potrzeba dwóch kart, w obydwóch końcach załamanych na szerokość $1\frac{1}{4}$ cent., tak aby środek między załamaniem był zupełnie kwadratowy. Obie karty składają się z sobą w ten sposób aby załamane brzegi szły do środka i żeby z każdej strony kwadracika schodził się brzeg załamany z brzegiem prostym drugiej karty. Nowe kwadraciki czepiają się za



N. 11. Zakończenie do krawatki r. 10.



N. 10. Krawatka tiulowa z koronkowem zakończeniem patrz ryc. 11.



N. 12—13. Dwie krawatki jedwabne.



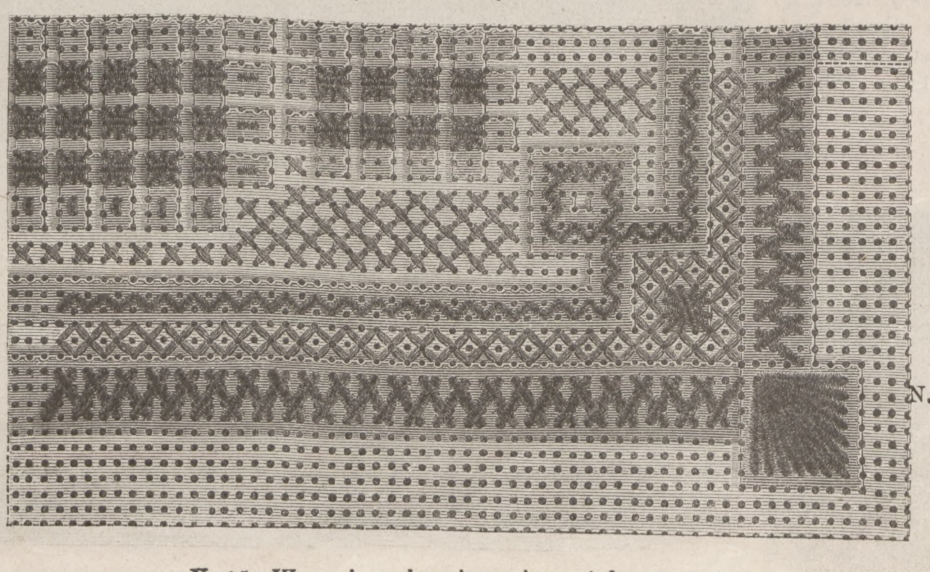
N. 3. Koszyczek do kluczyków. Patrz r. 14.



N. 16. Sukieneczka dla dziewczynki lat 6—8. Patrz ryc. 17.



N. 17. Sukieneczka dla dziewczynki lat 6—8. Patrz ryc. 16.



N. 15. Wyszycie na kanwie papierowej do ryc. 4.



N. 18. Kapelusz filcowy.

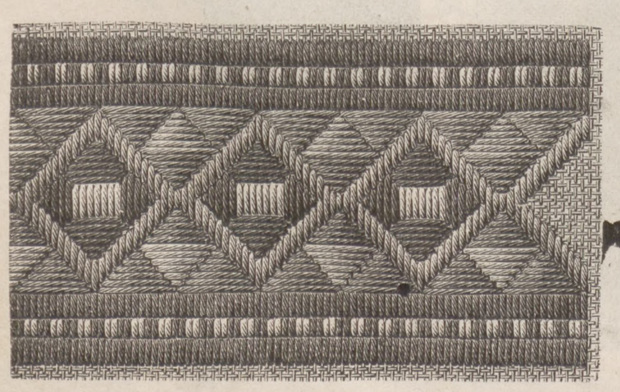
załamania i łączą z sobą podług ryciny 24. Trochę węziej załamywane karty jak w kwadratach stanowią ściany budynku, które opierają się na przygotowanej poprzednio podłodzu. Okna wycinają się z kart (podług deseniu podanego na arkuszu do poprzednich numerów) ostrym scyzorykiem na deseczce i podklejają żelatyną białą lub kolorową. Fig. 66 przedstawia deseń okien parterowych, Fig. 64 okno piętr wyższych, Fig. 67 wskazuje okno balkonowe a Fig. 65 górne ozdobne zakończenie balkonu, które wycina się z połowy karty. Również z połówek kart wycina się gzymsy górne, zakończające dach płaski i wieże które wznoszą się na podstawie z jednego kwadratu.



N. 34. Sukienka aksamitna dla panienki lat 9—11. Patrz ryc. 31.

N. 25 i ryc. 38 w N. 3. **Bukiet** z owoców.

Pięknie ułożony służy do przybrania stołu, albo też może być zręcznie wybranym pośrednikiem do ofiarowania komu kosztownej prawdziwej koronki, zastępując nią podłożenie papierowe. Młoda panienka chcąc ofiarować matce lub krewnej własnoręcznie odrobioną koronkę irlandzką, z siatki gipiurowej lub t. p. może ułożyć taki bukiet z owoców i bakalii a koronkę



N. 36. Szlak mozajkowy wyszyty na kanwie.

przyczepić na około brzegów. W przeszłym N-rze na rycinie 38 podaliśmy ukręconą z grubego drutu podstawę bukietu, w którą wsuwa się sztywny papier i dopiero układa owoce.

N. 26—34. Ubrania domowe.

N. 26. Suknia z tuniką i kaftanikowym stanikiem, dla młodej panienki.

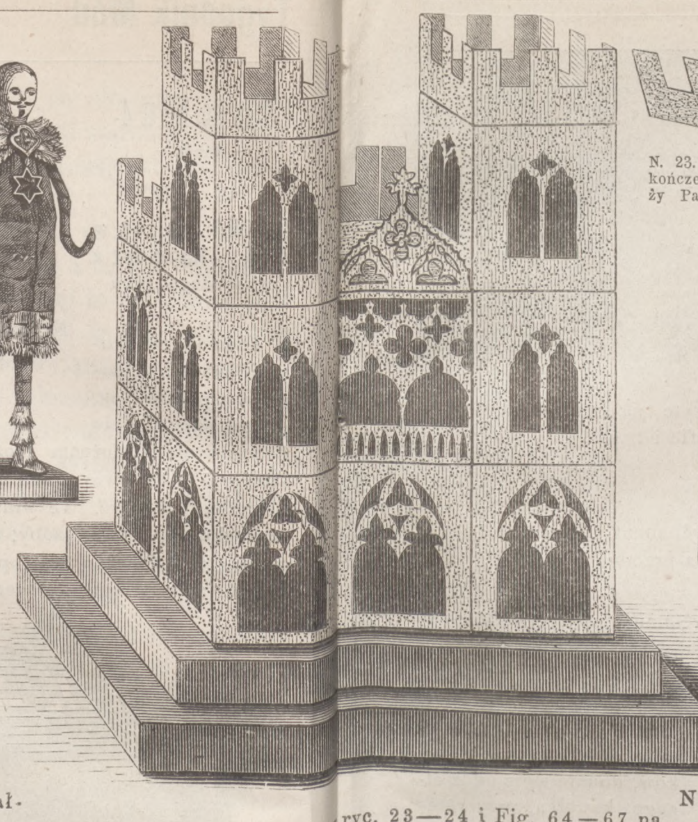
Kaszmir indyjski i materya jedwabna tego samego koloru składają materyał na to ubranie. Krój kaftanikowego stanika z kamizelką znajdą czytelniczki na arkuszach z krojami podanych w końcu przeszłego roku; kamizelka odwinięta podłużnie



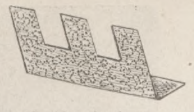


N. 21. Pajac nie przybrany do r. 20.

N. 20. Bombonierka w kształcie pajaca, do zawieszenia na choinie. Patrz ryc. 21.



N. 22. Zamek z kart. Patrz ryc. 23—24 i Fig. 64—67 na arkuszu do N. 1—2.



N. 23. Częśś zakończenia do wieży Patrz ryc. 22.



N. 24, Część posadzki do ryc. 22.



N. 25. Bukiet z owoców. Patrz ryc. 38 w N. 3.



N. 26—33. Ubrania domowe.

N. 26. Ubranie dla mło- N. 27. Suknia ze sta- N. 28. Ubranie dla osoby N. 29. Ubranie z włoskim N. 30. Sukienka z białej piki dla N. 31. Sukienka aksamitna dla panienki N. 32. Suknia z vêtement z kró- N. 33. Suknia ze stanikiem

dopełniona szmizetką płócienną w drobne fałdki. Wązkie rękawy zapinane aż do łokci na guziczki; spódnica niesięgająca do ziemi oszyta plisowaniem; tunika przykrywająca suknię aż do falbanki ma bryt tylny lekko podpięty a z przodu przemarszczona jest skośnie i naszyta skosem 5 cent. szerokim przemarszczonym w drobniutkie bufki; takiż skos bufowany zakończa ją u dołu.

N. 27. Suknia ze stanikiem z baskiną.

Odrobiona z mięsistego wełnianego materyału w kratę, ma za całe przyozdobienie dodane plisy jedwabne i rodzaj aksamitnego kołnierza także objętego plisą.



N. 19. Kapelusz okrągły aksamitny.

N. 28. Ubranie dla osoby w podeszłym wieku.

Składa się ze szlafroczka z czarnej materyi faille, ozdobionego aksamitnemi plisami 15, 7 i 2 cent. szerokiemi. Gładki odcinany stanik dopełniony jest spódnicą, z przodu i z boków wszytą gładko w pasek a z tyłu założoną w podwójną kontrafałdę. Czepek opisaliśmy przy ryc. 6 i 7 w N-rze 3.

N. 29. Ubranie z włoskim fartuszkiem.

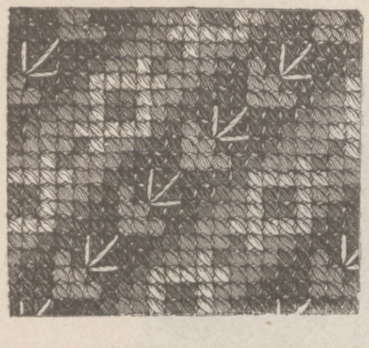
Suknia princesse z ciemnego wełnianego materyału zakończona garnirunkiem 25 cent. szerokim, złożonym z dwóch falbanek plisowanych po 5 cent. szerokich, z plisowania 7 cent. szerokiego, stanowiącego górne zakończenie i z pukli 4 cent. szerokich, danych naprzemian z materyału sukni wziętego podwójnie i z aksamitu na jedwabnej podszewce. Fartuszek włoski, który coraz więcej znajduje zwolenniczek, opisywaliśmy przy rycinie 3 w N. 37 z roku przeszłego.



N. 35. Sukienka princese dla małej dziewczynki.



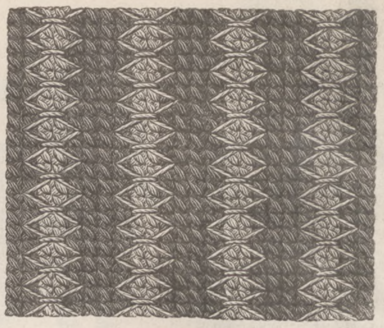
N. 37. Szlak wyszyty krzyżykami.



N. 38. Tło wyszyte na kanwie, na pantofle, torebki i t. p.



N. 41. Haft złotem na aksamicie do ryc. 40.



N. 39. Tło wyszyte na kanwie na pantofle i t. p.

N. 30. Sukieneczka pikowa dla małej dziewczynki.

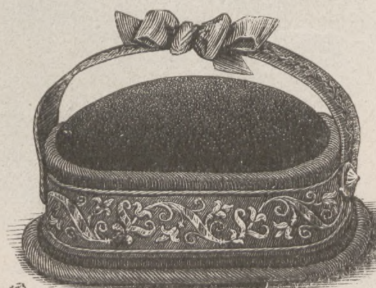
Odszyta formą princesse z białej piki i zapinana wzdłuż przodu na guziczki, przybrana jest haftowanemi langietkami, których naszycie odznacza vêtement z ranwersami z przodu.

N. 31 i 34. Sukienka z granatowego aksamitu dla panienki lat 9—11.

Aksamit który jest drogi można zastąpić welwetem, strojnym i praktycznym na ubrania dla dzieci.

N. 32. Suknia vêtement z krótką draperyą z przodu.

Nowy rodzaj vêtement jaki przedstawiliśmy na ryc. 32 da się zastąpić upięciem wprost na sukni princesse. W takim razie poprzecznie fałdowana draperya, oszyta frendzlą, podpięta trochę króciej na środku niż z boków, dodaje się z oddzielnego kawałka, przy vêtement zaś kraje się w jednym ciągu z przodem i bokami. Tylne bryty lekko podpięte, przypinają się niewidocznie do



N. 42. Kamień z poduszką do przypinania roboty.



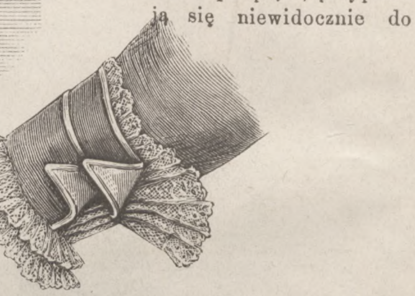
N. 40. Teka na krawaty męzkie. Patrz r. 41.



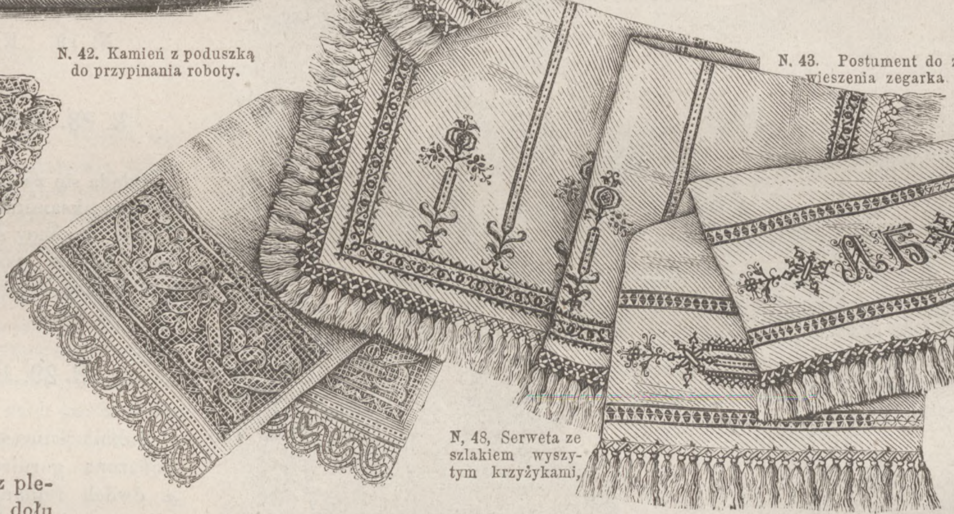
N. 43. Postament do zawieszenia zegarka



N. 44. Rękaw zdobny materyą i koronką.



N. 45. Rękaw z wykładem odwijanym i koronką.



N. 46. Ręcznik ze szlakiem wyszytym na tle ażurowem. Patrz r. 49.

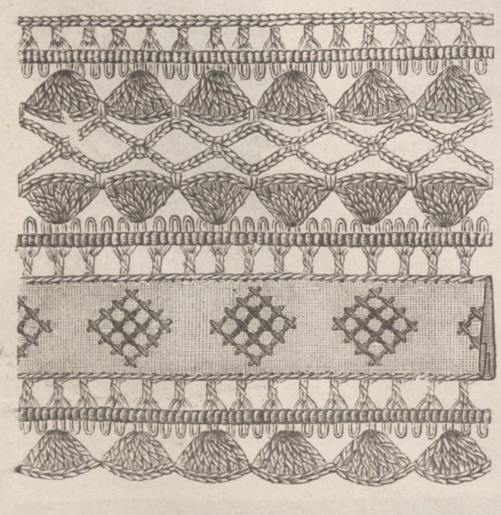
N. 48. Serweta ze szlakiem wyszytym krzyżykami.

N. 47. Ręcznik z wyszyciem kolorowem na szlaczku tkanym fabrycznie.

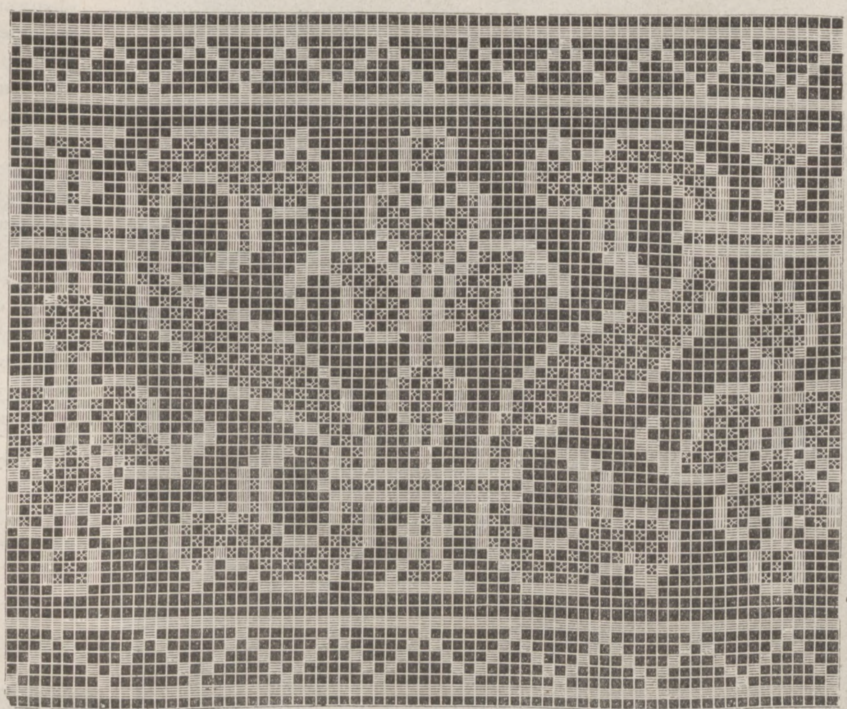
Sukienka przedstawiona z przodu na ryc. 34 a z tyłu na ryc. 31 jest formą princesse z plastronem odznaczonym pliską 3 cent. szeroką, naszytym dwoma rzędami guzików i zapinanym z boku i z plecami z czterech części, wyciętemi u dołu w zęby i dopełnionemi częścią fałdowaną. Przyozdobienie stanowią blado niebieskie jedwabne wypustki, kokardy z wstążki repsowej 3 cent. szerokiej i srebrne guziczki. Rękawy, kieszonki, kołnierz, dół plastronu są tak jak plecy wycięte w kwadratowe zęby, objęte materyą.

sukni. Suknia przedstawiona na ryc. 32 jest z materyału wełnianego ciemno zielonego, w prążki jedwabne ciemno ponsowe. Przybranie stanowią dwie plisowane falbanki jedna z tego co suknia materyału, druga z ciemno ponsowej faille i kilku rzędów stębnówki ponsowym jedwabiem. Frendzla 10 cent. szeroka.

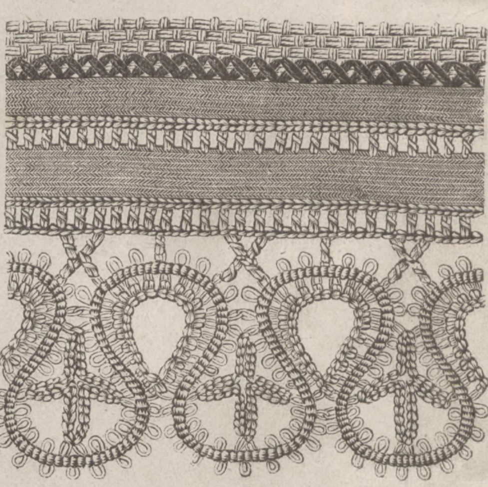
(dok. nast).



N. 50. Szlak do spódnic, prześcieradeł i t. p.



N. 49. Deseń na szlak do ręcznika ryc. 46.



N. 51. Szlak do serwet, ręczników i t. p.



N. 52. Szlak zdobiący boki kamienia z poduszką r. 42.